

Ursula K. Le Guin

Grobowce Atuanu

Druga czesc tetralogii Ziemiomorze

W podziemnych grobowcach na wyspie Atuan trwaja w pólśnie Bezimienni - mroczne bóstwa ziemi, niesmiertelne i silne, pozbawione twórczych mocy, zdolne jednak do niszczenia. Młoda dziewczyna Tenar, która juz jako dziecko została ich kapłanka, pewnego dnia staje przed wyborem - ostatecznie wyrzec sie siebie, własnego imienia i woli, zachowujac za to władze, której udzieliły jej potegi ciemności i śmierci, albo wybrac trudna, czasami bolesna wolność, opowiadajac sie po stronie życia i światła.

Czarnoksiężnik Ged, zwany Krogulcem, poszukujacy w podziemiach ukrytej polówki magicznego pierścienia, stara sie pomóc Tenar, ale decydujacy krok musi zrobic ona sama...

Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie:
na pustym niebie
jasny jest lot sokola.

„Pieśń o stworzeniu Ea”

Prolog

- Do domu, Tenar! Do domu!

Doline spowil półmrok, jablonie miały wkrótce zakwitnąć. Tu i tam, w cieniu wśród galezi, błyszczał jak malenka gwiazdka nazbyt wczesnie rozkwitły pak, różowy i biały. Między drzewami, po świeżej, gestej, wilgotnej trawie biegła mała dziewczynka. Biegła dla czystej radości biegu. Słyszac wołanie, nie zatrzymała się od razu, lecz szerokim łukiem zawróciła w stronę domu. Matka czekała w drzwiach chaty: ciemna sylwetka na tle padającego z wnętrza blasku ognia. Przyglądała się podskakującej figurce, podobnej do puszki dmuchawca niesionego wiatrem ponad ciemniejaca wśród drzew trawa.

U węgla ojciec oskrobywał z ziemi zablocona motyke.

- Dlaczego tak kochasz to dziecko? - zapytał. - W przyszłym miesiącu przyjdą, żeby ją zabrać. Na dobre. Lepiej zapomnielibyś o niej i tyle. Co ci z tego, że tak Igniesz do kogoś, kogo i tak musisz stracić? Z niej nie będziemy mieli pożytku. Żeby chociaż zapłacili, to byłoby coś. Ale nie. Zabierają i koniec.

Kobieta milczała. Patrzyła na dziecko, zatrzymała się właśnie, by poprzez korony drzew spojrzeć w niebo. Ponad sadem, ponad szczytami gór, czystym blaskiem lśniła gwiazda wieczorna.

- Ona nie należy do nas. Nigdy nie należała, odkąd przyszli i powiedzieli, że ma być Kapłanka przy Grobowcach. Czemu nie chcesz tego zrozumieć? - głos mężczyzny był szorstki, pełen goryczy. - Masz jeszcze czworo. Zostaną z nami, a ona nie. Nie przywiązuj się do niej. Daj jej odejść.

- Gdy nadejdzie czas - odrzekła - pozwolę jej odejść.

Dziewczynka podbiegła, stawiając małe, białe stopy na błotnistej ziemi. Matka schyliła się, by ją objąć, a kiedy wchodziły do chaty, pocałowała czarne włosy córki. Jej własne, w migocącym blasku ognia, były jasne.

Mężczyzna pozostał na zewnątrz. Czuł, jak marzną mu białe stopy, widział, jak ciemnieje nad nim czyste, wiosenne niebo. Jego twarz pełna była żalu - tak ślepego, tepego, złego żalu, że nie umiałby znaleźć słów, by go wypowiedzieć. W końcu wzruszył ramionami i wszedł za żonę do zalanej blaskiem ognia izby, gdzie rozbrzmiewały głosy dzieci.

Rozdział pierwszy

Pozarta

Wysoki głos rogu przeszył powietrze i umilkł. Cisze zakłócał tylko odgłos kroków stawianych w powolnym rytmie wybijanym przez beben - w równym rytmie uderzeń serca. Poprzez szczeliny w dachu Sali Tronu, przez wyrwy między kolumnami, gdzie runęły całe odcinki muru, wpadały migotliwe, ukosne promienie słońca. Powietrze było nieruchome i mroźne. Szron pokrywał martwe liście chwastów, przeciskających się między płytami marmuru; trzeszczały cicho, czepiając się czarnych szat kapłanek.

Szły czwórkami przez ogromną salę, pomiędzy podwójnymi rzędami kolumn. Glucho rozbrzmiewał beben. Nie było slychac niczyich głosów, niczyje oczy nie oglądały tej procesji. Plomienie pochodni w dłoniach dziewcząt okrytych czernią zdawały się czerwieniec w snopach słonecznego światła, by zaraz rozblysnac jasno w pasmach cienia między nimi. Na zewnątrz, na stopniach Sali Tronu, zostali mężczyźni - strażnicy, trebacze, dobosze. Wielkie wrota przekroczyły tylko kobiety - w ciemnych strojach, w kapturach, idące wolno, czwórkami, w kierunku pustego tronu.

Na przedzie szły dwie: wysokie, spowite w czern, jedna wyprostowana i sztywna, druga ocieziała, kolyszająca się lekko. Między nimi maszerowała szesnoletnia dziewczynka w prostej białej tunice. Głowe, ramiona i nogi miała odsłonięte. Była bosa.

Dwie kobiety zatrzymały się u stopni wiodących do tronu i lekko pchnęły dziecko do przodu. Pozostałe czekały, ustawione w równe ciemne szeregi.

Zdawało się, że stojący na wysokim postumencie tron okrywają zasłony czerni, zwisające z ponurego półmroku pod stropem. Czy to rzeczywiście zasłony, czy tylko gestniejące cienie, nie sposób było stwierdzić. Tron był także czarny, klejnoty i złocenia oparcia i poręczy rzuciły posepne błyski. Tron był olbrzymi. Człowiek, który by na nim zasiadł, zdawałby się karłem - tron był ponad ludzkie wymiary.

Stal pusty. Zajmowały go tylko cienie.

Dziecko samotnie weszło na czwarty z siedmiu stopni z czerwono żyłkowanego marmuru. Były tak szerokie i wysokie, że musiało na każdym postawić obie stopy, zanim wspięło się na następny. Na czwartym, środkowym, na wprost tronu, stał duży, nierówny, wyzłobiony u góry kłoc drzewa. Dziewczynka ukleknęła i ułożyła głowę w zagłębieniu, przekrecając ją lekko w bok. W tej pozycji znieruchomiała.

Nagle z cienia po prawej stronie tronu wynurzyła się postać o zamaskowanej twarzy, okryta białą welnianą toga. W ręku trzymała pięciostopowy miecz z polerowanej stali. W milczeniu, bez wahania, podniosła go oburącz nad szyję dziewczynki. Beben umilkł.

Ostrze zamarło na chwilę. Wtem z lewej strony tronu wyskoczyła postać w czerni, zbiegła w dół i chwyciła szczupłymi rękoma ramie ofiarownika. Miecz lśnił w półmroku. Przez chwilę biała postać i czarna, obie bez twarzy, jak tancerze balansowały nad nieruchomym dzieckiem, którego jasna szyja odsłaniały rozdzielone pasma czarnych włosów.

W absolutnej ciszy postacie odskoczyły od siebie i rozeszły się, znikając w ciemności za olbrzymim tronem. Jedna z kapłanek podeszła do stopni i wylała na nie czare jakiegoś płynu, który w panującym półmroku wydawał się czarny.

Dziewczynka wstała i z trudem zeszła na dół, gdzie dwie wysokie kobiety odziały ją w czarną szatę i płaszcz z kapturem. Potem odwróciły ją, by spojrziała na stopnie, na ciemną plamę, na tron.

- Niech Bezimienni przyjmą ofiarowane im dziewczę, jedyne, jakie kiedykolwiek zrodziło się

beziemiennym. Niech przyjma jej zycie, wszystkie lata az do smierci, która równiez do nich nalezy. Niech ja uznaja za godna tej ofiary. Niech bedzie pozarta!

Inne glosy, chrapliwe i przenikliwe jak glosy trab, odpowiedzialy:

- Zostala pozarta! Zostala pozarta!

Dziewczynka spojrzala spod czarnego kaptura w góre, na tron. Kurz pokrywal klejnoty na ciezkich poręczach zdobionych rzezbionymi pazurami, z rzezb oparcia zwisaly pajeczyny, widac bylo bialawe plamy sowych odchodów. Na trzech stopniach powyzej miejsca, gdzie kleczala, nie stanela nigdy stopa smiertelnika. Kurz zalagal na nich warstwa tak gruba, ze wygladaly jak jedna ukosna plaszczyzna, zylkowany marmur skrywala calkowicie nieporuszona, nietknieta pokrywa tylu juz lat, tylu stuleci...

- Zostala pozarta! Zostala pozarta!

Znowu odezwal sie beben, tym razem w szybszym rytmie.

W ciszy, powoli, nowo uformowana procesja ruszyla na wschód, ku dalekiemu jasnemu kwadratowi wyjścia. Po obu stronach sali szerokie podwójne kolumny ginely w mroku pod pulapem. Miedzy kaplankami szla dziewczynka, teraz cala w czerni, jak one. Jej bosc stopy deptaly zamarniete liscie i lodowate kamienie, nie podnosila wzroku, kiedy blyskaly przed nia promienie slonca, przebijajace zniszczony dach.

Straznicy trzymali wrota szeroko otwarte. Czarna procesja wysunela sie na zewnatrz, na chlodny wiatr i blade swiatlo poranka. Slonce oslepialo, plynac nad beziarem pustki na wschodzie. Ku zachodowi góry staly w jego blasku i jasniala fasada Sali Tronu. Inne budynki, nizej na wzgórz, pogrzone byly jeszcze w purpurowym cieniu. Tylko na niewielkim wzgórzku za droga blyszczal w glorii niedawno zlozony dach Swiatyni Boskich Braci. Czarna kolumna kaplanek czwórkami rozpoczela marsz w dól Wzgórza Grobowców. Idac podjely cichy spiew. Prosta melodia skladala sie z trzech tylko tonów, a raz po raz powtarzane slowo bylo tak starozytne, ze utracilo juz znaczenie. Bylo jak kamien milowy tkwiacy ciagle w miejscu, gdzie od dawna nie ma juz drogi. Kobiety wciaz na nowo powtarzaly to puste slowo. Ich cichy spiew jak nie milknacy, monotonny szum wypelnial caly ten dzien, Dzień Odrodzenia Kaplanki.

Dziewczynka przechodzila z sali do sali, ze swiatyni do swiatyni. W jednym miejscu kladziono jej sól na jezyk, w innym kleczala twarza ku zachodowi, gdy obcinano jej wlosy i namaszczano olejkiem i octem winnym, w jeszcze innym lezala twarza w dól na plycie z czarnego marmuru, a za oltarzem przenikliwe glosy wyspiewywaly modlitwe za zmarlych. Przez caly dzien nie jadlo nic i nie pila - ani ona, ani zadna z kaplanek.

Kiedy zaplonela gwiazda wieczorna, dziewczynke polozono do loza - naga, okryta owczymi skórami, w komnacie, gdzie nie byla nigdy dotad, w budynku, który przez cale lata stal zamkniety i dopiero dzis go otworzono. Bardzo wysoka komnata nie miala okien, a w powietrzu unosil sie stechly zapach. Tam, w ciemnosci, pozostawily ja milczace kobiety.

Nie poruszala sie. Z szeroko otwartymi oczami lezala w pozycji, w jakiej ulozily ja kaplanki. Trwala tak bardzo dlugo.

Potem zobaczyla swiatlo: nikly odblysk na scianie. Ktos nadchodzil cicho korytarzem. Oslanial swiece, by dawala nie wiecej blasku niz swietlik.

- Hej, Tenar, jestes tam? - uslyszala ochryply szept.

Milczala.

Do wnętrza komnaty wsunela sie jakas glowa - bezwlosa, o barwie zółtawej jak obrany ziemniak. Malenkie brazowe oczy takze przypominaly oczka ziemniaka. Nos zdawal sie karlowaty przy wielkich plaskich policzkach, usta przypominaly pozbawiona warg szczeline. Dziewczynka wpatrywala sie w te twarz wielkimi ciemnymi oczami.

- Wiec jestes, Tenar, mala pszczólko! - Glos byl szorstki i wysoki, jakby kobiecy, lecz nie nalezal do kobiety. - Nie powinienem tu przychodzic, moje miejsce jest za drzwiami, na ganku, wlasnie tam ide. Ale musialem zobaczyc, jak sie czuje moja mala Tenar po tym dlugim, ciezkim dniu. Tak, tak, jak tam moja biedna, mala pszczólka?

Bezszelestnie ruszyl w jej strone wyciagajac reke, jakby chcial ja poglaskac.

- Nie jestem juz Tenar - powiedziala dziewczynka patrzac wprost na niego.

Wyciagnieta reka opadla, nie dotknal jej.

- Nie - szepnal po chwili. - Wiem, wiem. Teraz jestes malenka Pozarta. Ale ja...

Milczala.

- To byl ciezki dzien dla mojej malenkiej - powiedzial w koncu mezczyzna. Odsunal sie. Nikle swiatelko migotalo w jego szerokiej zóltej dloni.

- Nie powinienes przychodzic do tego Domu, Manan.

- Nie... Wiem, ze nie. Nie powinno mnie byc w tym miejscu. No cóz, dobrej nocy, malenka... Dobrej nocy.

Dziecko milczalo. Manan odwrócił sie wolno i odszedl. Swietlne blyski znikly z wysokich scian. Dziewczynka, której jedynym imieniem bylo teraz *Arha*, Pozarta, lezala na plecach i nieruchomym wzrokiem wpatrywala sie w ciemnosc.

Rozdzial drugi

Mur wokół Miejsca

Nie zdawala sobie z tego sprawy, ale w miare dorastania zapominala matke. Przynalezala tutaj, do Miejsca Grobowców, zawsze tu byla. Tylko czasem, w dlugie sierpniowe wieczory, kiedy patrzyla na góry na zachodzie, wysuszone i plowe w blasku slonca, wspominala ogien, który dawno temu plonal na

kominku, rzucając takie samo żółte światło. Wtedy wracała pamięć o tym, jak ją przytulano - niezwykła, gdyż tutaj mało kto jej dotykał. I wspomnienia przyjemnego zapachu, aromatu włosów świeżo umytych i plukanych w wodzie z szalwią - długich, jasnych włosów o barwie ognia i słońca tuż nad horyzontem. Tylko tyle jej pozostało.

Naturalnie, wiedziała więcej niż pamiętała, gdyż opowiedziano jej całą historię. Kiedy miała sześć czy siedem lat i zaczynała się zastanawiać, kim jest ta osoba, którą nazywają Arha, poszła do swego opiekuna, dozorca Manana.

- Opowiedz mi, jak zostałam wybrana, Manan - poprosiła.

- Przecież wiesz, malenka.

Rzeczywiście wiedziała. Wysoka kapłanka Thar powtarzała jej to swym oschłym głosem, dopóki nie nauczyła się słów na pamięć.

- Wiem - przyznała i zaczęła recytować: - Po śmierci Jedynej Kapłanki Grobowców Atuanu, ceremonie pogrzebu i oczyszczenia kończą się z upływem jednego miesiąca kalendarza księżycowego. Potem wybrane Kapłanki i Strażnicy Miejsca Grobowców ruszają przez pustynie do miasteczek i wiosek Atuanu, by szukać i rozpytywać. Poszukują dziewczynki urodzonej w noc śmierci Kapłanki. Kiedy ją znajdują, czekają i obserwują. Dziecko musi być zdrowe na ciele i umyśle, a rosnąć nie może chorować na krzywicę czy ospę, ani zdradzać żadnych deformacji, ani oslepnąć. Kiedy bez skazy osiągnie wiek pięciu lat, wtedy wiadomo, że istotnie jest ono nowym wcieleniem Kapłanki, która umarła. Wiść o tym zanosi się do Boga-Króla w Awabath, a ja sama przewożę do Świątyni, gdzie przez rok pobiera nauki. A kiedy ten rok dobiegnie końca, prowadzi się ją do Sali Tronu, a jej imię oddane zostaje na powrót tym, którzy są jej Władcami, Bezimiennym, jako że sama jest bezimienna, Kapłanka Wiecznie Odradzana.

Tak mówiła jej Thar, słowo w słowo, a ona nigdy nie osmieliła się prosić o więcej. Chuda kapłanka nie była okrutna, tylko zimna od życia w żelaznej dyscyplinie. Arha bała się jej. Za to Manana nie bała się ani trochę i mogła mu rozkazywać.

- A teraz opowiedz, jak zostałam wybrana! Wiedziała, że znowu ustąpi.

- Wyruszyliśmy stąd na północ i zachód, trzeciego dnia pierwszej kwadry, gdyż Arha-która-była umarła trzeciego dnia ostatniego księżyca. Najpierw udaliśmy się do Tenacbah, które jest wielkim miastem, choć wobec Awabath jest niczym pchłą przy krowie. Tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli je oba. Ale dla mnie jest wystarczająco duże: stoi tam chyba z tysiąc domów. I sprawdziliśmy w Gar. Ale nikt w tych dwóch miastach nie miał dziecka-dziewczynki, urodzonej trzeciego dnia księżyca zeszłego miesiąca. Znaleźliśmy kilku chłopców, ale chłopcy się nie nadają. Ruszyliśmy więc w góry, na północ od Gar, do miasteczek i wiosek. To moja kraina. Nie urodziłem się na tej pustyni, ale tam, gdzie płyną potoki i ziemia jest zielona. - Matowy głos Manana zawsze wtedy brzmiał dziwnie, a jego małe oczka kryły się zupełnie, przerywał na chwilę, nim zaczynał opowiadać dalej. - Odszukaliśmy i rozmawialiśmy ze wszystkimi, którzy byli rodzicami dzieci urodzonych w ostatnich miesiącach. Niektórzy próbowali klamać: „Tak, oczywiście, nasza córka urodziła się trzeciego dnia księżyca!” Ci biedni ludzie, musisz wiedzieć, często są zadowoleni, gdy mogą się pozbyć córek. Byli też inni, ubodzy i mieszkający w samotnych chatkach, w dolinach wśród gór, którzy nie liczyli czasu i rzadko potrafili rozróżnić dni, więc nie umieli określić z całą pewnością, w jakim wieku są ich dzieci. Ale pytając dostatecznie długo, zawsze potrafiliśmy dojść do prawdy. Wreszcie znaleźliśmy: w wiosce liczącej dziesięć chatek, w dolinie sadów na zachód od Entat. Dziewczynka miała osiem miesięcy. Tak długo trwały nasze poszukiwania. Ale urodziła się tej nocy, gdy zmarła Kapłanka Grobowców, w godzinie jej śmierci. Piękne to było dziecko. Siedziała na kolanach matki i patrzyła na nas błyszczącymi oczkami, kiedy jak nietoperze do jaskini

wciskaliśmy się do jedynej izby domu. Jej ojciec był biednym człowiekiem. Doglądał jabłoni w sadzie bogacza i nie miał nic własnego prócz pieciorga dzieci i kozy. Nawet chata nie należała do niego. Tam więc staneliśmy wszyscy i po tym, jak kapłanki patrzyły na małą i szeptały między sobą, można było poznać, że ich zdaniem znalazły wreszcie Odrodzoną. Matka też to poznała. Tulila dziecko i nie odzywała się ani słowem. No więc wróciliśmy następnego dnia. I proszę: dziecko leży w wiklinowym łódeczku, krzyczy i płacze, a na całym ciele ma pręgi i czerwone plamy z gorączki. A matka płacze jeszcze głośniej: „Och! Och! Moja malutka złapała Palce Wiedźmy!” Tak właśnie mówiła. Miała na myśli ospe. W mojej wsi też mówiliśmy na nią Palce Wiedźmy. Ale Kossil, która jest teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, podeszła do kołyski i wyjęła dziecko. Wszyscy inni cofnęli się, a ja razem z nimi, nie cenię swego życia zbyt wysoko, ale kto wchodzi do domu, gdzie jest ospa? Lecz Kossil nie bała się ani trochę... Nie, nie ona. Wzięła dziecko i mówi: „Ona nie ma gorączki”. Potem pośliniła palec i potarła czerwone plamy, a one zniknęły. To był tylko sok z jagód. Biedna, głupia matka myślała, że nas oszuka i zatrzyma dziecko! - Manan śmiał się z tego serdecznie, żółta twarz prawie się nie zmieniała, ale brzuch trzasł mu się mocno. - No więc masz ja zbil, bo bał się gniewu kapłanek. Niedługo potem wróciliśmy na pustynię, ale co roku jeden z ludzi Miejsca wracał do wioski wśród jabłkowych sadów i sprawdzał, jak dziewczynka dorasta. Tak minęło pięć lat, a wtedy Kossil i Thar ruszyły w podróż ze strażą Świątyni i żołnierzami w czerwonych hełmach, przysłanych przez Boga-Króla jako eskorta. Przywieźli tu dziecko, ponieważ była to w istocie Kapłanka Grobowców odrodzona, i tu powinna się znaleźć. A kto był tym dzieckiem, malenka? No kto?

- Ja - odpowiadała Arha patrzeć w dal, jakby chciała zobaczyć coś, czego nie mogła dostrzec, co zginęło poza widnokręgiem.

- A co zrobiła... matka, kiedy przyszli zabrać jej córkę? - spytała kiedyś.

Tego Manan nie wiedział, nie pojechał z kapłankami na ostatnią wyprawę.

A ona nie pamiętała. Zresztą, po co pamiętać? Co przeszło, minęło. Przybyła tu, gdzie musiała przybyć. Z całego świata znalazła tylko jedno miejsce: Grobowce Atuanu.

Przez pierwszy rok sypiała w dużej sali razem z innymi nowicjuszkami, dziewczętami w wieku od czterech do czternastu lat. Już wtedy jednak Manan został wybrany spośród Dziesięciu Dozorców na jej osobistego opiekuna. Jej łóżko stało w małej alkowie, częściowo odgródzone od długiej, niskiej sklepionej sali Wielkiego Domu, gdzie dziewczęta chichotały między sobą i szeptały, zanim zasnęły, a w szarym blasku poranka ziewając zaplatały sobie włosy. Kiedy odebrano jej imię i stała się Arha, spała samotnie w Małym Domu, w łóżku i pokoju, które miały być jej łóżkiem i pokojem przez resztę życia. Ten dom należał do niej, był Domem Jedynej Kapłanki i nikt nie miał prawa tu wejść bez jej pozwolenia. Gdy była jeszcze małą, bawilo ją, gdy ludzie stukali pokornie do drzwi, a ona mówiła: „Mozesz wejść”. Irytowało ją też, że obie Najwyższe Kapłanki, Kossil i Thar, uznawały jej pozwolenie za rzecz naturalną i wchodziły bez pukania.

Mijały dni i lata, wszystkie podobne do siebie. Dziewczeta w Miejscu Grobowców spędzały czas na lekcjach i ćwiczeniach. Nie bawiły się. Nie miały czasu na zabawę. Uczyły się świętych pieśni i świętych tańców, historii Wysp Kargadu i sekretów bogów, którym służyły: Boga-Króla, panującego w Awabath, albo Boskich Braci, Atwaha i Wuluaha. Z nich wszystkich jedynie Arha poznawała rytuały Bezimiennych, nauczana przez Thar, Najwyższą Kapłankę Blizniaczych Bóstw. To zmuszało ją do rozstawiania się z innymi na godzinę lub więcej dziennie, lecz resztę czasu, podobnie jak pozostałe dziewczęta, poświęcała na proste zajęcia. Uczyły się zwijac i tkac welne, sadzić, zbierać, szykować posiłki, jakie same jadły: soczewice, kukurydze mielona grubo na płatki i drobno na mąkę do pieczenia chleba, cebule, kapuste, kozi ser, jabłka i miód.

Najlepsze, co mogło się przydarzyć, to wyprawa na ryby nad mętą zieloną rzeką płynącą przez pustkowia o pół mili na północny wschód od Miejsca. Brała ze sobą jabłko albo kawałek chleba jako drugie śniadanie, a potem siedziała w słońcu wśród trzciny, wpatrując się w powolny ruch wody albo cienie chmur, zmieniające swe kształty na zboczach gór. A kiedy pieszcząca z radości patrzeć, jak napina się linka i w chwili później płaska, migotliwa ryba podskakuje na brzegu i topi się w powietrzu, Mebbeth syczała jak zmija:

- Uspokój się, wrzaskliwa idiotko!

Mebbeth, która służyła w świątyni Boga-Króla, była smagłą kobietą, młoda jeszcze, lecz twarda i ostra jak obsydian. Lowienie było jej pasją. Arha musiała uważać i siedzieć cichutecznie, inaczej Mebbeth nigdy już nie wzięłaby jej ze sobą na ryby. A wtedy Arha nie mogłaby chodzić nad rzekę, najwyżej po wodę latem, kiedy wysychały studnie. To nie było przyjemne: brnąć pół mili przez palący żar, napełnić dwa wiadra na nosidłach, potem jak najszybciej wrócić pod górę, do Miejsca. Pierwsze pięćdziesiąt szani było łatwe, ale potem wiadra stawały się coraz cięższe, nosidła parzyły ramiona jak rozpalone żelazo, a każdy krok był meką. W końcu docierała do cienia na tyłach Wielkiego Domu, obok grządki jarzyn, i z pluskiem wylewała wodę do wielkiej cysterny. Tylko po to, by zawrócić i pokonywać te drogi znowu, i znowu, i znowu.

W obrębie Miejsca - nie potrzebowało i nie miało innej nazwy, gdyż było najświętszym i najstarszym ze wszystkich miejsc Czterech Wysp Imperium Kargadu - mieszkało kilkuset ludzi i stały liczne budynki: trzy świątynie, Wielki i Mały Dom, kwatery dozorców eunuchów, a zaraz za murem koszary strażnicy i chaty niewolników, magazyny, budynki gospodarcze, zagrody owiec i kóz. Z daleka przypominało małe miasteczko. Z daleka, to znaczy z suchych pagórków na zachodzie, gdzie rosła tylko szalwia, kepki trawy i pustynne zioła. Ale nawet z odległych równin na wschodzie można było dostrzec złoty dach Świątyni Blizniaczych Bóstw, połyskujący niczym kawałek miki w skale.

Sama świątynia była kamiennym szescianem otynkowanym na biało, bez okien, z gankiem przed niskimi drzwiami. Bardziej efektowna i o całe wieki młodsza była stojąca trochę niżej Świątynia Boga-Króla z wysokim portalem i rzędem grubych białych kolumn z wymalowanymi symbolami. Kolumny zrobiono z wielkich cedrowych pni, sprowadzonych statkiem z Hur-at-Hur, gdzie rosły lasy. Dwudziestu niewolników z wysiłkiem przeciągało je po nagich równinach aż do Miejsca. Podróżny zbliżający się ze wschodu widział złoty dach i białe kolumny o wiele wcześniej, nim dostrzegł stojącą wyżej na wzniesieniu najstarszą świątynię: zniszczoną i brązową jak sama pustynia, ogromną, niską Salę Tronu o latanych ścianach, z płaską, sypiącą się kopułą.

Za Salą ciągnął się otaczający cały szczyt wzniesienia masywny mur, wzniesiony bez zaprawy, z kamieni, które w wielu miejscach już wypadły. W jego kregu niby olbrzymie palce sterczały z ziemi kilka czarnych głazów, wysokich na osiemnastę czy dwadzieścia stóp. Kto raz je zobaczył, stale wracał do nich myślą. Stały pełne niewysłowionych znaczeń. Było ich dziewięć. Jeden trzymał się prosto, inne pochylały się mniej lub bardziej, dwa były przewrócone. Porastał je szary i pomarańczowy mech, podobny do plam farby: wszystkie prócz jednego, czarnego i lśniącego matowo. Był gładki w dotyku, lecz na innych można było zobaczyć albo wyczuć palcami pod pokrywą mchu niewyraźne rzeźbienia - jakieś kształty czy znaki. Te kamienie były Grobowcami Atuanu. Stały tu, jak powiadano, od czasu pierwszych ludzi, od kiedy powstało Ziemiomorze. Ustawiono je w ciemnościach, gdy ziemia wynurzyła się z głebin oceanu. Starsze były o wiele od Bogów-Krółów Kargadu, starsze niż Blizniacze Bóstwa, starsze niż światło. Były grobowcami władców świata sprzed czasu ludzi - władców, którym nie nadawano imion. Ta, która im służyła, także nie miała imienia.

Nieczęsto wchodziła między Kamienie. Nikt inny nie śmiałby dotknąć stopą gruntu, z którego wyrastały na szczyt, wewnątrz kamiennego muru za Salą Tronu. Dwa razy do roku, o pełni księżyca najbliższej

wiosennemu i jesiennemu zrównaniu dnia z nocą, przed Tronem składano ofiare. Arha wychodziła wtedy przez niskie drzwiczki z tyłu Sali, niosąc wielką misę pełną dymiącej krwi kozłecia. Połowe jej musiała wylać u stóp pionowego czarnego glazu, połowe na jeden z leżących kamieni, pograżonych w skalistej ziemi, ze śladami krwi ofiarowywanej tu od wieków.

Czasami wczesnym rankiem przychodziła tu sama. Spacerowała wśród Kamieni, próbując rozpoznać niewyraźne rzeźbienia, lepiej widoczne w świetle nisko stojącego słońca. Albo siedziała tylko, spoglądając na góry po zachodniej stronie, lub w dół, na dachy i mury Miejsca, na pierwsze oznaki krzataniny wokół Wielkiego Domu i baraków straży, na stada kóz i owiec podążające ku skąpom pastwiskom nad rzeką. Między Kamieniami nigdy nie było nic do roboty. Przychodziła tu tylko dlatego, że było jej wolno i że nic tu nie zakłócało samotności. Było to posępne miejsce. Chłód panował nawet w upalne letnie południa. Czasem wiatr gwizdał między dwoma Kamieniami stojącymi najbliżej siebie i pochylonymi tak, jakby powierzały sobie jakieś tajemnice. Ale żadna tajemnica nie została wypowiedziana.

Z Murem Grobowców łączył się inny, niższy, zataczający nieregularne półkole wokół wzgórza i ciągnący się dalej na północ, ku rzece. Nie tyle chronił on Miejsce, co rozciął je na dwie części: po jednej stronie świątynie, domy kapłanek i dozorców, po drugiej kwatery straży i niewolników, którzy uprawiali ziemię, pasli owce i kozy, zdobywali żywność dla Miejsca. Żaden z nich nigdy nie przekraczał muru. Jedynie podczas niektórych, najważniejszych świąt strażnicy, dobosze i trebacze towarzyszyli procesjom kapłanek. Nie wchodził jednak do świątyni. Żaden inny mężczyzna nie miał prawa postawić stopy wewnątrz Miejsca. Kiedyś docierały tu pielgrzymki, kiedyś królowie i wodzowie z Czterech Wysp przybywali pokłonić się bogom, półtora wieku temu przybył pierwszy Bóg-Król, by ustanowić ceremonie w swej własnej świątyni. Ale nawet on nie mógł wejść pomiędzy Kamienie Grobowców, nawet on musiał jechać i spać po zewnętrznej stronie muru otaczającego Miejsce.

Wejście na mur nie było trudne - palce łatwo znajdowały szczeliny między kamieniami. Pewnego wiosennego popołudnia Pozarta i dziewczynka zwana Penthe siedziały na jego szczycie. Obie miały po dwanaście lat. Powinny być w Wielkim Domu, w ogromnej kamiennej sali tkalni, powinny stać przy krosnach, zawsze załadowanych szorstką czarną wełną, i tkąć materiał na szaty. Wymknęły się, by łyknąć wody ze studni na dziedzińcu, a potem Arha powiedziała „Chodźmy!” i poprowadziła towarzyszkę do muru - dołem, by nie widziano ich z Wielkiego Domu. Teraz siedziały na szczycie, dziesięć stóp nad ziemią, spoglądając na nagie równiny, ciągnące się bez końca od wschodu i północy.

- Chciałabym zobaczyć morze - powiedziała Penthe.

- Po co? - zdziwiła się Arha. Zła gorzka lodyga jakiejś rośliny, która znalazła między kamieniami.

Dobiegał właśnie końca czas kwitnienia na tej jalonej ziemi. Wszystkie pustynne kwiatki, żółte, różowe i białe, skarlałe i szybko przekwitające, zaczynały wysiew, rozrzucając na wiatr białe jak popiół piórka i parasolki, upuszczając zbrojne w haczyki nasiona. Ziemię pod jabłoniami w sadzie okrywał biało-różowy dywan. Galezie były zielone - jedyne zielone drzewa w promieniu wielu mil od Miejsca. Wszystko inne, od horyzontu po horyzont, miało matowe, wypłowiałe barwy pustyni - z wyjątkiem srebrzystych błękitnych gór, gdzie pojawiły się pierwsze paczki szalwi.

- Och, nie wiem, po co. Po prostu chciałabym zobaczyć coś innego. Tu jest zawsze tak samo. Nic się nie dzieje.

- Wszystko, co dzieje się gdziekolwiek, tutaj ma swój początek - oświadczyła Arha.

- Wiem... Ale chciałabym zobaczyć, jak się dzieje.

Penthe uśmiechnęła się. Była pulchna, miła dziewczyna. Potarła podeszwami stóp rozgrzane słońcem kamienie.

- Widzisz... - mówiła dalej. - Kiedy byłam małą, mieszkałam nad morzem. Nasza wioska stała zaraz za pasem wydmy i czasem bawiliśmy się na plaży. Raz, pamiętam, zobaczyliśmy daleko od brzegu całą flotę statków. Pobiegliśmy powiedzieć o tym w wiosce i wszyscy przyszli popatrzeć. Statki wyglądały jak smoki z czerwonymi skrzydłami. Niektóre miały prawdziwe szyje ze smoczymi łbami. Przeplwały w pobliżu Atuanu, ale to nie były kargijskie statki. Przybyły z zachodu, z Wewnętrznych Krain. Tak mówił wójt. Wszyscy poszli, żeby popatrzeć. Chyba się bali, że wylądują. Ale one przeplynęły i nikt nie wiedział, dokąd zmierzają. Może napasać na Karego-At. Ale pomyśl tylko, naprawdę przybyły z wysp czarodziejów, gdzie wszyscy ludzie są koloru ziemi i mogą rzucić na ciebie czar równie łatwo jak mrugnąć.

- Nie na mnie - oświadczyła z gniewem Arha. - Ja bym nie patrzyła na ich statki. To zły, przekleci czarownicy. Jak śmieli przepływać tak blisko Świętej Ziemi?

- Wiesz, przypuszczam, że Bóg-Król podbije ich kiedyś i zrobi z nich niewolników. Ale chciałabym znowu zobaczyć morze. W kaluzach na plaży znajdowaliśmy małe osmiornice, a jak się na nie krzyknęło „Buu!”, to robiły się zupełnie białe. O, tam idzie stary Manan. Pewnie cie szuka.

Opiekun i sługa Arhy zbliżał się wolno wzdłuż muru. Pochylił się, by zerwać dziką cebulę, której zebrał już cały peczęk, potem wyprostował się i rozejrzał. Przytył z wiekiem, a jego żółta skóra błyszczała w słońcu.

- Schowamy się po stronie mężczyzn - syknęła Arha.

Dziewczynki zsunęły się zwinnie jak jaszczurki i przyłgnęły do muru tuż pod jego szczytem, niewidoczne od wewnętrznej strony. Słyszały coraz bliższe kroki Manana.

- Hej! Hej, ziemniaczana głowo! - Kpiący głos Arhy był cichy jak wiatr wśród traw.

Cieżkie kroki ucichły.

- Jest tam kto? - odezwał się niepewnie Manan. - Malenka? Arha?

Cisza.

Manan ruszył dalej.

- Hej! Ziemniaczana głowo!

- Hej, ziemniaczany brzuchu! - nasładowała Arhe Penthe i aż jęknęła, usiłując stłumić chichot.

- Jest tam kto?

Cisza.

- Dobrze, dobrze, dobrze - westchnął eunuch i odszedł powoli. Kiedy zniknął za wzgórzem, dziewczęta wspięły się z powrotem na mur: Penthe zaczerwieniona i spocona ze śmiechu, ale Arha wściekła.

- Stary tryk, lazi za mna wszedzie!

- Musi - zauwazyła rozsadnie Penthe. - To jego praca. Ma cie pilnowac.

- Pilnuja mnie ci, którym sluze. Dla nich sie staram i dla nikogo wiecej nie musze. Te stare kobiety i pół-mezczyzni powinni mnie zostawic w spokoju. Jestem Jedyna Kaplanka!

Penthe spojrzala na nia zaskoczona.

- Wiem - powiedziala drzacym glosem. - Wiem, ze jestes, Arho...

- Wiec powinni dac mi spokój, a nie rozkazywac przez caly czas!

Penthe westchnela ciezko. Machala pulchnymi nogami, wpatrzona w pusta, piaszczysta ziemie i daleki, wysoki horyzont.

- Niedlugo sama bedziesz wydawac rozkazy - odezwala sie w koncu cichym glosem. - Za dwa lata przestaniemy byc dziecmi. Skonczymy czternascie lat. Ja odejde do swiatyni Boga-Króla i pewnie nic sie dla mnie nie zmieni. Ale ty naprawde staniesz sie Najwyzsza Kaplanka. Nawet Kossil i Thar beda musialy cie sluchac.

Pozarta nie odpowiedziala. Na jej zawzietej twarzy pod czarnymi brwiami migotaly oczy, odbijajac blask jasnego nieba.

- Powinnysmy juz wracac - stwierdzila Penthe.

- Nie.

- Ale dozorczyzni tkalni moze sie poskarzyc Thar. Niedlugo juz pora na Dziewiec Psalmów.

- Zostaje tutaj. I ty tez.

- Ciebie nie ukarza, mnie tak - poskarzyla sie Penthe, choc bez wyrzutu.

Arha milczala. Penthe westchnela i zostala przy niej. Slonce zapadalo w mgielke ponad równina. Z daleka slychac bylo dzwonki owiec i beczenie jagniat. Podmuchy suchego, wiosennego wiatru nosly slodkie zapachy.

Kiedy dziewczeta wrócily do Wielkiego Domu, Dziewiec Psalmów prawie sie konczylo. Mebbeth zobaczyla, ze siedza na Murze Mezczyzn i doniosla o tym swojej zwierzchniczce, Kossil, Najwyzszej Kaplance Boga-Króla.

Ciezko zbudowana Kossil przemówila do dziewczat bez sladu emocji ani na twarzy, ani w glosie. Nakazala im isc za soba. Poprowadzila je korytarzami Wielkiego Domu, przez frontowe drzwi, w góre do swiatyni Atwaha i Wuluaha. Tam opowiedziala o wszystkim Najwyzszej Kaplance tej swiatyni, Thar, wysokiej, suchej i chudej jak kosc.

- Zdejmij szate - polecila Kossil Penthe.

Potem wychlostala dziewczynke trzinowa różga, lekko nacinajaca skórę. Penthe zniosla to w milczeniu, polykajac lzy. Zostala odeslana do tkalni bez kolacji, wiedzac, ze nastepnego dnia takze nie dostanie nic

do jedzenia.

- Jesli jeszcze raz zostaniesz przylapana na Murze Mezczyzn, czeka cie cos o wiele gorszego. Zrozumialas? - Glos Kossil byl cichy, lecz wcale nie lagodny.

Penthe odpowiedziala: „Tak” i wyszla, drzac i kulac sie, gdy ciezka szata ocierala rany na plecach.

Arha stala obok Thar obserwujac chloste. Teraz przygladala sie, jak Kossil plucze trzciniowa różge.

- Nie uchodzi, by widziano cie wspinajaca sie i biegajaca z innymi dziewczetami. Jestes Arha.

Arha spuscila ponuro glowe i milczala.

- Lepiej, zebys robila tylko to, co robic powinnas. Jestes Arha.

Dziewczynka na chwile podniosla wzrok, spogladajac w twarz Thar, potem Kossil. W jej spojrzeniu byla nienawisc albo wscieklosc tak gleboka, ze az straszna. Lecz chuda kaplanka nie przejela sie tym, raczej podraznila ja jeszcze bardziej, pochylajac sie, by rzucic szeptem:

- Jestes Arha! Nic juz nie pozostalo. Wszystko jest pozarte.

- Wszystko jest pozarte - powtórzyła dziewczynka tak, jak powtarzala codziennie, przez wszystkie dni zycia, odkad ukonczyla szesc lat.

Thar pochylila glowe, Kossil takze, odkladajac na bok różge. Dziewczynka odwróciła sie z pokora i wyszla.

Po kolacji zlozonej z ziemniaków i zielonej cebuli, które zjadla w waskim, ciemnym refektarzu, po odspiewaniu wieczornych hymnów i umieszczeniu swietych znaków na drzwiach, po krótkim Rytuale Niewypowiedzianego, praca wyznaczona na ten dzien zostala wykonana. Dziewczeta mogly teraz isc do sypialni i bawic sie kosmi lub patyczkami, póki nie wypali sie swieca z trzciniowym knotem. Potem, lezac juz w łózkach, mogly szeptac do siebie w ciemnosci. Arha, jak to czynila co wieczór, ruszyla przez podwórza i drózki Miejsca do Malego Domu, gdzie spala samotnie.

Wiosenny wiatr niósl slodkie zapachy. Gwiazdy blyszczaly jasno jak peki stokrotek na wiosennej lace, jak swiatla na morzu w kwietniu. Lecz dziewczynka nie pamietala lak ani morza. Nie patrzyla w góre.

- Hej, malenka!

- Manan... - rzucila obojetnie.

Wielki cien zrównal sie z nia. Gwiazdy odbijaly sie w bezwlosej czaszce eunucha.

- Ukaraly cie?

- Nie mozna mnie karac.

- Nie... To prawda...

- Nie mogly mnie ukarac. Nie osmielily sie.

Stal ze zwieszonymi rekami, tegi i slabo widoczny w mroku. Czula zapach dzikiej cebuli, won potu i szalwi wydzielana przez jego stara czarna szate, rozdarta na skraju i za krótka na niego.

- Nie moga mnie dotknac. Jestem Arha - oswiadczyla piskliwie i wyzywajaco. A potem sie rozplakala.

Wielkie dlonie uniosly sie i przytulily ja, sciskaly delikatnie i gladzily jej splecione wlosy.

- Juz dobrze, dobrze, mala pszczólko, moja malutka.

Uslyszala chrapliwy pomruk w glebi jego piersi i przylgnela do niego. Lzy wyschly szybko, lecz nie wypuszczala go, jakby nie potrafila ustac samodzielnie.

- Biedna malenka - szepnal, biorac dziecko na rece. Zaniósl je az do drzwi domu, gdzie spalo samotnie. Tam postawil na ziemi.

- Juz dobrze, malenka?

Kiwnela glowa, odwrócala sie od niego i weszla do ciemnego wnetrza.

Rozdzial trzeci

Wiezniowie

- Równe i ciezkie kroki Kossil odbijaly sie echem w korytarzu Malego Domu. Jej wysoka, tega sylwetka przeslonila otwór drzwi, zmalala, gdy kaplanka poklonila sie, przyklekajac na jedno kolano, urosla na powrót, kiedy sie wyprostowala.

- Pani...

- O co chodzi, Kossil?

- Dogladanie niektórych spraw dotyczacych Dziedziny Bezimiennych do dzis dnia bylo moim obowiazkiem. Jesli sobie zyczysz, to nadszedl wlasnie czas, bys sie przyjrzala, nauczyla i przejela ode mnie zadania, jakich w tym zyciu jeszcze nie poznalas.

Dziewczynka siedziala w pozbawionym okien pokoju. Powinna medytowac, lecz wlasciwie nie robila nic i nic prawie nie myslala. Chwila minela, nim jej twarz stracila chlodny, wyniosly i obojetny wyraz. Stracila go jednak, choc starala sie to ukryc.

- Labirynt? - spytala z pozorna niedbaloscia.

- Nie wejdiesz do Labiryntu. Konieczne jest jednak przejście przez Podgrobie.

W głosie Kossil zabrzmiał dziwny ton, jakby lek, prawdziwy lub może udawany, by przerazić Arhe. Dziewczynka wstała bez pospiechu.

- Dobrze - rzuciła obojętnie. Lecz podając za wysoka, tego kapłanka Boga-Króla krzyczała w duchu z radości: Nareszcie! Nareszcie! Zobaczcie w końcu moja własna dziedzina!

Miała piętnaście lat. Minal ponad rok odkąd stała się kobieta i równocześnie osiągnęła pełnię władzy jako Jedyna Kapłanka Grobowców Atuanu, najwyższa ze wszystkich kapłanek Wysp Kargadu, której nawet sam Bóg-Krół nie ma prawa rozkazywać. Wszyscy teraz zginali przed nią kolano, nawet posepne Kossil i Thar. Wszyscy odzywali się z wyuczonym szacunkiem. Ale poza tym nic się nie zmieniło. Nic się nie stało. Kiedy dobiegły końca ceremonie konsekracji, dni mijaly tak jak dotąd. Trzeba było zwijać welne, tkac czarny materiał, mieć make, dopełniać rytuałów, co wieczór musiała odspiewać Dziewięć Psalmów, pobłogosławić drzwi, dwa razy w roku nakarmić Kamienie krwia kozlecia, wykonać przed Pustym Tronem taniec nowiu księżyca. Tak przeminał rok, taki sam jak wszystkie poprzednie. Czy tak ma minąć całe jej życie?

Nuda wzbierała w niej tak mocno, że czasem odczuwała ją jak grozę: dławila w gardle. Jakis czas temu poczuła, że musi komus o tym opowiedzieć. Inaczej popadłaby w obłęd. Mogła rozmawiać tylko z Mananem. Duma nie pozwalała jej zwierzać się innym dziewczętom, a ostrożność - starszym kobietom. Lecz Manan był nikim, tylko wiernym głupcem. Nie miało znaczenia, co mu powie. Ku jej zdziwieniu, zawsze miał dla niej odpowiedź.

- Dawno temu - powiedział kiedyś - wiesz, malenka, zanim cztery nasze wyspy połączyły się w jedno imperium, zanim Bóg-Krół zapanował nad nami wszystkimi, rządziło tu wielu pomniejszych królów, księży i wodzów. Zawsze klócili się między sobą. I przychodzili tutaj, by rozstrzygnąć swoje spory. Tak właśnie było, przybywali z naszego Atuanu, z Karego-At i Atnini, nawet z Hur-at-Hur: wszyscy ci księżeta i wodzowie ze swoją służbą i wojskiem. I pytali cie, co mają robić. A ty stawałaś przed Pustym Tronem, a potem przekazywałaś im rady Bezimiennych. Tak było dawno temu. Po pewnym czasie Królowie-Kapłani zaczęli rządzić Atuanem, a teraz, od czterech czy pięciu pokoleń, Bogowie-Królowie władają wszystkimi czterema wyspami, z których stworzyli imperium. Wiele się zmieniło. Bóg-Krół potrafi poskromić niepokornych wodzów i sam rozwiązuje ich spory. A że jest bogiem, rozumiesz, nie musi tak często radzić się Bezimiennych.

Arha zastanowiła się nad tym. Czas niewiele znaczył w tej pustynnej krainie, pod niezmiennymi Kamieniami, w życiu płynącym tak samo od początku świata. Nie potrafiła się pogodzić z myślą o zmianie, o upadku dawnych obyczajów i powstawaniu nowych. Nie podobał się jej taki punkt widzenia.

- Moc Boga-Króla jest o wiele mniejsza od mocy Tych, którym ja służę - stwierdziła marszcząc brwi.

- Z pewnością... Ale trudno to powiedzieć bogu, mała pszczołko. Albo jego kapłance.

Patrząc w male białe oczka Manana pomyślała o Kossil, Najwyższej Kapłance Boga-Króla, której bała się od samego początku, odkąd przybyła do Miejsca. Wiedziała, o czym mówi eunuch.

- Ale Bóg-Krół i jego lud zaniedbują wiarę Grobowców. Nikt już tu nie przychodzi.

- No cóż, przysyłają więźniów na ofiary. Tego nie zaniedbują. Nie zapominają też o darach należnych Bezimiennym.

- Dary! Świątynie Boga-Króla malują co roku, cętnar złota leży na ołtarzu, w lampach pali różanym

olejkiem! A spójrz na Sale Tronu: dziurawy dach, popekana kopuła, w ścianach żyją myszy, sowy i nietoperze... ale i tak przetrwa wszystkich Bogów-Krółów i wszystkie ich świątynie. Istniała przed nimi, a kiedy odejda, nadal będzie tu stała. To jest środek wszechzeczy.

- To jest środek wszechzeczy.

- Są tam bogactwa, Thar opowiada czasem o nich. Dostępnym, by dziesięciokrotnie zasypać świątynię Boga-Króla. Złoto i klejnoty ofiarowane całe wieki, setki pokoleń temu... Kto wie, jak dawno. Wszystko leży zamknięte w grotach i skarbcach, pod ziemią. Nie chcą mnie jeszcze tam zabrac, kaza mi czekać i czekać. Ale wiem, jak tam jest. Pod wzgórzem są komnaty, pod całym Miejscem: tu, gdzie teraz stoimy. Tam jest ogromna sieć korytarzy. Labirynt, jak wielkie, ciemne, podziemne miasto. Pełne złota, mieczy dawnych bohaterów, starych koron i kości, i lat, i ciszy.

Mówiła jak w transie. Manan przyglądał się jej z niepokojem. Jego tłusta twarz nigdy nie wyrażała niczego prócz smutku. Teraz była smutniejsza niż zwykle.

- Tak. A ty jesteś panią tego wszystkiego - powiedział. - Ciszy i ciemności.

- Jestem. A oni nie chcą mi nic pokazać, tylko pomieszczenia na powierzchni ziemi, za Tronem. Nie pokazały mi nawet wejścia do podziemi, mamrocza tylko czasem na ten temat. Nie wpuszczają mnie do mojej dziedziny! Dlaczego kaza mi czekać i czekać?

- Jesteś młoda - odparł chrapliwym głosem Manan. - A może... może po prostu się boją, małe dziecko. Przecież to nie ich dziedzina. Twoja. Kiedy tam wchodzi, grozi im niebezpieczeństwo. Każdy śmiertelnik leka się Bezimiennych.

Arha milczała, lecz oczy jej rozbłysły. Jeszcze raz Manan ukazał jej nowy sposób widzenia pewnych spraw. Tak wspaniale, zimne, potężne wydawały się jej zawsze Thar i Kossil, że nie wyobrażała sobie, by mogły się czegoś bać. Lecz eunuch miał rację. Lekali się tamtych miejsc i sił, których Arha była częścią, do których należała. Bały się wejść w ciemność, by nie zostały pozarte.

A teraz, gdy schodziła wraz z Kossil schodami od drzwi Małego Domu, a potem wspinała się stromą ścieżką w stronę Sali Tronu, wspominała tamtą rozmowę z Mananem i czuła radość. Nieważne, gdzie ją zabiorą i co pokażą, nie przestraszy się. Będzie wiedziała, co robić.

- Jednym z zadań, jakie wykonywałam w imieniu mojej pani, jak jej wiadomo - odezwała się Kossil, idąc nieco z tyłu - było składanie w ofierze więźniów, przestępców szlachetnie urodzonych, którzy swietokradztwem lub zdradą zgrzeszyli przeciw naszemu panu, Bogu-Królowi.

- Albo przeciwko Bezimiennym - dodała Arha.

- W istocie. Nie jest właściwe, by Pozarta spełniała te obowiązki, będąc jeszcze dzieckiem. Lecz pani moja już dzieckiem nie jest. Więźniowie czekają w Komnacie Lancuchów, przysłani tu z łaski pana naszego, Boga-Króla, z jego miasta Awabath.

- Nikt mi nie mówił, że przybyli więźniowie. Dlaczego?

- Więźniów sprowadza się nocą, sekretnie, na sposób nakazany pradawnym rytuałem Grobowców. To tajemna droga, na którą pani moja wkroczy, gdy wejdzie na ścieżkę biegnącą obok muru.

Arha skreśliła wzdłuż wysokiego muru otaczającego Grobowce. Kamienie, z których go zbudowano,

były masywne, najmniejszy cięższy był od człowieka, największe miały wielkość wozu. Choć bezkształtne, zostały starannie ułożone i dopasowane. Mimo to w niektórych miejscach mur rozsypywał się, a odłamki leżały stosami na ziemi. Jedynie czas mógł tego dokonać, całe wieki gorących dni i mroźnych nocy, ruchy gruntu mierzone w tysiącletniach.

- Nietrudno się wspiąć na Mur Grobowców - zauważyła Arha.
- Nie mamy dość ludzi, by go odbudować - odparła Kossil.
- Ale dość, by go strzegli.
- To tylko niewolnicy. Nie można im ufać.
- Można, jeśli będa się bali. Niech kara dla nich będzie taka sama, jak dla obcego, który postawi stopę na świętej ziemi za murem.
- Jaka to kara? - Kossil pytała nie po to, by się dowiedzieć. Dawno temu sama nauczyła Arhe odpowiedzi na to pytanie.
- Ścieżkę głowy przed Tronem.
- Czy pani moja pragnie, by postawiono strażę przy Murze Grobowców?
- Tak - potwierdziła dziewczyna.

Zaciskała w podnieceniu ukryte w długich rekawach palce. Wiedziała, że Kossil nie chce marnować niewolników na pilnowanie muru. I rzeczywiście, wcale nie było to potrzebne, gdyż jacy obcy tu przybywali? Nie wierzyła, by ktokolwiek niezauważony, przypadkiem lub celowo, znalazł się w promieniu mili od Miejsca. A już na pewno nie dostałby się w pobliże Grobowców. Ale straż sprawi, że będa uhonorowane, a Kossil nie może spierać się z nią w tym względie. Musi być posłuszna.

- To tutaj - odezwał się zimny głos kapłanki.

Arha zatrzymała się. Często spacerowała ścieżką pod Murem Grobowców i znała ją, jak znała każdy skrawek Miejsca, każdy kamień, cierni i oset. Wysoki na trzech ludzi potężny mur wznosił się po jej lewej ręce. Po prawej zbocze opadało w płytką, jałową dolinę. Kawalek dalej teren wznosił się znowu ku wzgórzom na zachodzie. Rozejrzała się uważnie, lecz nie zobaczyła niczego, czego nie widziałaby już przedtem.

- Pod czerwoną skałą, pani.

Kilka sznów poniżej ścieżki język czerwonej lawy tworzył stopień czy małe urwisko. Zeszła tam i stojąc twarzą do skał spostrzegła, że tworzą jakby bramy, wysoka na cztery stopy.

- Co trzeba uczynić?

Już dawno nauczyła się, że w świętych miejscach nie należy otwierać drzwi, póki się nie wie, jak należy to zrobić.

- Pani moja posiada wszystkie klucze do miejsc ciemności. Od rytuału dojrzałości Arha nosiła u pasa żelazne kółko, na którym wisiał mały sztylet i trzynastę kluczy: niektóre długie i ciężkie, inne małe jak

haczyki na ryby.

- To ten - wskazała Kossil, po czym przytknęła swój gruby palec do szczeliny między dwoma nierównymi powierzchniami czerwonego kamienia.

Długi klucz z dwoma ozdobnymi piórami wsunął się między skały. Arha chwyciła go oburącz i przekreciła gładko, choć z trudem.

- Co teraz?

- Razem...

Wspólnie naparły na kamienną powierzchnię na lewo od dziurki od klucza. Powoli, lecz płynnie i prawie bez hałasu nierówna płyta czerwonej skały odsunęła się, odsłaniając wąską szczelinę. Wewnątrz panowała ciemność.

Arha pochyliła się i zagłębiła w mrok.

Kossil, tęga kobieta w grubych szatach, musiała się przeciskać przez wąskie przejście. Gdy tylko znalazła się wewnątrz, oparła plecy o kamienne odrzwia i zamknęła je z wysiłkiem.

Nic tu nie rozpraszało absolutnego mroku. Niby mokry filc zdawał się przylegać do otwartych oczu.

Kossil i Arha zginały się niemal w pół, gdyż korytarz nie miał nawet czterech stóp wysokości, a był tak wąski, że Arha wyciągniętymi rękami dotykała szorstkiej skały po lewej i po prawej stronie równocześnie.

- Przyniosłaś światło?

Zapytała szeptem, tak jak się mówi w ciemności.

- Nie - odparła z tyłu Kossil. Mówiła głosem znizonym, lecz brzmiącym dziwnie - jak gdyby się uśmiechała. A przecież Kossil nigdy się nie uśmiechała. Serce Arhy podskoczyło gwałtownie, czuła uderzenia krwi w krtani. Z uporem powtarzała sobie: to mój teren, tutaj jest moje miejsce, nie będę się bala!

Na głos nie powiedziała ani słowa. Ruszyła przed siebie, była tylko jedna droga. Prowadziła do wnętrza wzgórza i w dół.

Kossil szła za nią oddychając z wysiłkiem. Jej szaty szeleszczyły czepiając się skal i piachu.

Nagle sklepienie uniosło się, Arha mogła już stanąć wyprostowana, a wyciągnawszy ręce na boki nie sięgała ścian. Stechle dotąd i pachnące ziemią powietrze teraz muskało jej twarz wilgotnym chłodem, a jego drobne poruszenia wywoływały wrażenie rozległej przestrzeni. Arha ostrożnie postąpiła kilka kroków w absolutną ciemność. Spod jej sandałów wysliznął się kamyczek, uderzył w inny i cichy stuk zbudził echo... wiele ech, delikatnych, dalekich, jeszcze dalszych. Grota musiała być ogromna, wysoka i szeroka, lecz nie pusta. Coś w mroku, powierzchnie niewidocznych obiektów lub ścian, rozbijały echa na tysiące fragmentów.

- Musimy być teraz pod Kamieniami - szepnęła, a jej głos pomknął w czarną pustkę, rozdzielony na pajeczne nici odbić, długo jeszcze Ignace do uszu.

- Tak, to Podgrobie. Idzmy. Ja nie moge tu zostac. Trzymaj sie sciany po lewej rece, az miniesz trzy przejścia.

Kossil syczala raczej niz szeptala, a delikatne echa syczaly wraz z nia. Nie czula sie dobrze tutaj, wśród Bezimiennych, w ich grobowcach, ich grotach, w ciemnosci. Nie tu bylo jej miejsce, nie do niego nalezala.

- Przyjde tu z pochodnia - oznajmila Arha, dotykajac palcami sciany, która ja prowadzila.

Zdumiewaly ja niezwykle ksztalty, jakie wyczuwala: wglebienia i wybrzuszenia, delikatne krzywe krawedzie, tu szorstkie jak koronki, ówdzie gladkie jak mosiadz. Na pewno zostaly wyrzezbione. Moze cala ta grota byla dzielem rzezbkarzy z dawnych dni...

- Swiatlo w tym miejscu jest zakazane - odparla ostro Kossil. Nim jeszcze to powiedziala, Arha pojela, ze tak wlasnie byc musi. Znalazla sie w domu ciemnosci, w najglebszym osrodku nocy.

Trzy razy palce Arhy pokonaly pustke rozwierajaca sie w kamiennej czerni. Za czwartym razem jej rece odkryly przejście. Weszla, a Kossil podazala za nia.

W tunelu, wznoszacym sie lekko w góre, minely otwór korytarza po lewej stronie. Potem, przy rozwidleniu, skrecily w prawo, wszystko na dotyk. Niczym slepe wymacywaly droge w ciszy panujacej we wnetrzu ziemi. W takim tunelu trzeba bylo niemal bez przerwy dotykac scian, by nie pominac jakiegos korytarza, którego wylot mial byc policzony. Dotyk byl jedynym przewodnikiem. Idacy nie widzial drogi, lecz trzymal ja w dloniach.

- Czy to Labirynt?

- Nie. To mniejsza siec, pod Tronem.

- A gdzie jest wejście do Labiryntu? - Dziewczynie podobala sie ta wedrówka przez ciemnosć, ale pragnela stanac wobec wiekszej zagadki.

- Drugi korytarz, jaki minelyśmy w Podgrobiu. Szukaj teraz drzwi po prawej stronie. Drewnianych drzwi. Moze juz zaszlyśmy za daleko.

Arha slyszala, jak Kossil nerwowo obmacuje sciane, skrobiac o kamienie. Sama lekko muskala je czubkami palców i po chwili wyczula gladka powierzchnie drewna. Pchnela. Drzwi zgrzytnely i otworzily sie bez oporu. Znieruchomiala na moment, oslepiona blaskiem.

Po chwili obie weszly do duzego, niskiego, wykutego w skale pomieszczenia, oswietlonego zwisajaca na lancuchu pojedyncza pochodnia. Cuchnelo tu dymem, który nie mial ujścia. Oczy Arhy piekly i lzawily.

- Gdzie sa wiezniowie?

- Tam.

Wtedy zrozumiala, ze trzy niewyraźne wzgórkki po drugiej stronie komory to ludzie.

- Drzwi nie byly zamkniete? Nie ma strazy?

- Nie ma potrzeby.

Weszła dalej, niepewnie wytezając wzrok w zadymionej przestrzeni. Więźniowie byli przykuci za obie kostki i jedną rękę do wielkich, wbitych w skałę piersieni. Gdyby któryś chciał się położyć, jego ręka zwisałaby na łańcuchu podniesiona w górę. Cienie i splątane w jedną masę brody i włosy więźniów skrywały ich twarze. Jeden z nich na wznak leżał, dwaj pozostali siedzieli, a może raczej kucali. Byli nadzy. Odór ich ciał przebijał się nawet przez zapach dymu.

Zdawało się jej, że jeden z nich patrzy na nią, dostrzegła chyba błysk oczu, lecz nie była pewna. Pozostali nie poruszyli się ani nie podnieśli głów.

Odwróciła się.

- Nie są już ludźmi - stwierdziła.

- Nigdy nie byli ludźmi. To demony, bestie spiskujące przeciw błogosławionemu życiu Boga-Króla! - Oczy Kossil płonęły czerwonym blaskiem pochodni.

Arha spojrzała na więźniów, zalekniona i ciekawa.

- Jak człowiek może atakować boga? Ty powiedz: jak śmiałaś podnieść rękę na żywego boga?

Jeden z mężczyzn spojrzał na nią przez czarną plataninę włosów, lecz milczał.

- Przed odjazdem z Awabath wyrwano im języki - wyjaśniła Kossil. - Nie mów do nich, pani. To robactwo. Należą do ciebie, ale nie po to, byś z nimi rozmawiała, patrzyła na nich czy o nich myślała. Należą do ciebie, byś oddała ich Bezimiennym.

- Jak ma się to dokonać?

Arha nie patrzyła na więźniów. Wpatrywała się w Kossil, czerpiąc siłę z jej chłodu, z widoku jej masywnego ciała. Kreciło jej się w głowie, a smród dymu i brudu przyprawiał o mdłości. Mimo to Kossil zdawała się zachowywać absolutny spokój. Czy wiele razy robiła już coś takiego?

- Kapłanka Grobowców wie najlepiej, jaki rodzaj śmierci zadowolili jej Władcy. Sama powinna wybrać. Jest wiele sposobów.

- Niech Gobar, kapitan straży, odrąba im głowy. A krew zostanie wylana przed Tronem.

- Jakby byli kozłami ofiarnymi? - Miała wrażenie, że Kossil nasmiewa się z jej braku wyobraźni. Milczała oszolomiona, a kapłanka mówiła dalej: - Poza tym Gobar jest mężczyzną. Mężczyzna nie może wejść w Mroczne Obszary Grobowców. Z pewnością pani moja pamięta o tym? Jeśli tu wejdzie, nie może wyjść...

- A kto ich tu przyprowadził? Kto ich karmi?

- Dozorcy, słudzy mojej świątyni, DUBY i UAHTO. Są eunuchami i mogą tu wejść w służbie Bezimiennych, jak i ja mogę. Żołnierze Boga-Króla zostawili więźniów związanych pod murem, a ja i dozorca przeniesliśmy ich przez Wrota Więźniów, te drzwi w czerwonej skale. Tak jest zawsze. Wode i pożywienie spuszcza się im przez kłapy w jednej z komnat za Tronem.

Arha obejrzała się i obok lancucha, na którym wisiała pochodnia, dostrzegła drewnianą klape wpasowaną w kamienny strop. Była o wiele za mała, by człowiek zdołał przecisnąć się przez otwór, lecz spuszczone tamtędy lina opadłaby akurat w zasięgu rąk środkowego więźnia. Szybko odwróciła wzrok.

- Niech zatem nie dają im więcej jedzenia i wody. Niech wypali się pochodnia.

Kossil skłoniła głowę.

- A co z ciałami, gdy już umrą?

- Niech DUBY i Uahto zakopią je w wielkiej grocie, przez którą przechodziliśmy. W Podgrobju - mówiła szybko i piskliwie. - Moi Władcy je pozrą.

- Tak się stanie.

- Dobrze zrobiłam, Kossil?

- Dobrze, pani.

- Chodźmy więc.

Arha odwróciła się i ruszyła do drzwi, by jak najszybciej wyjść z Komnaty Lancuchów i znaleźć się w mroku korytarza. Wydawał się teraz słodki i spokojny jak bezgwiezdna noc, cichy, bez światła, bez życia. Rzuciła się w czystą ciemność, rozgarniając ją jak płótno wodę. Kossil spieszyła za nią zdyszana i zmęczona, coraz bardziej zostając z tyłu. Arha bez wahania mijając wyloty jednych korytarzy i skręcała w inne, powtarzając przebytą drogę. Przebiegła skrajem ogromnego, pełnego echem Podgrobja, weszła w długi tunel wiodący do zamkniętych drzwi w skale. Znalazła je, lecz nie potrafiła odszukać dziurki od klucza. W niewidocznej skalnej płycie nie zajaśniał żaden świetlny punkcik. Obmacywała kamień szukając zamka, rygła czy klamki. Bez skutku. Gdzie włożyć klucz? Jak można się stąd wydostać?

- Pani!

Wzmocniony echem głos Kossil huczał za plecami.

- Pani, te drzwi nie otwierają się od wewnątrz. Nie ma wyjścia. Nie można wrócić.

Arha przykucnęła obok skały. Milczała.

- Arho!

- Tu jestem.

- Chodź!

Ruszyła, pelzając na czworakach jak pies do spódnic Kossil.

- Na prawo! Szybko! Nie wolno mi zwlekać. To nie jest moje miejsce. Idź za mną.

Arha wstała, trzymając się szaty Kossil. Bardzo długo szły szybko wzdłuż rzeźbionej ściany groty po prawej ręce. Potem skręcili w pustkę wśród czerni. Teraz posuwały się w górę, najpierw tunelem, później schodami. Dziewczyna nie wypuszczała z ręki szaty kobiety. Oczy miała zamknięte.

Pojawilo sie swiatlo, czerwone poprzez zamkniete powieki. Myslala, ze to blask pochodni w tamtej zadymionej grocie i nie otwierala oczu. Lecz powietrze pachnialo slodkawo: suche, lekko stechle, znajome. Stapala po stopniach stromych jak drabina. Puscila Kossil i spojrzala. Nad glowa dostrzegla otwarta klape. Przecisnela sie za kaplanka do pokoju, który znala: malej kamiennej komórki, w której stalo kilka skrzyń i zelaznych szkatulek. Byla w jednym z pomieszczen na tyloch Sali Tronu. W korytarzu za drzwiami jasnialo szare swiatlo dnia.

- Tamte drzwi, Wrota Wiezniów, prowadzi jedynie do tuneli. Nie prowadzi na zewnatrz. To jest jedyne wyjście. Jesli istnieje inne, to ja o nim nie wiem. Thar takze nie. Jesli je znajdziesz, sama musisz o nim pamietac. Ale nie wierze, by takie bylo. - Kossil nadal mówila szeptem, w którym jednak brzmiala zlosliwosc. Pod czarnym kapturem jej otyla twarz byla blada i mokra od potu.

- Nie pamietam, gdzie trzeba skrecic, by tu dojsc.

- Powiem ci. Raz. Potem musisz pamietac. Nigdy wiecej z toba nie pójde. To nie jest moje miejsce. Musisz chodzic sama.

Dziewczyna skinela glowa. Spojrzala na kaplanke myslac, jak dziwnie wyglada jej twarz: blada, z wyrazem ledwie skrywanego strachu, a jednak tryumfujaca - jak gdyby Kossil cieszyła sie jej slaboscia.

- Bede chodzila sama - powiedziala Arha i odwracajac sie poczula, ze uginaja sie pod nia nogi, ze pokój wiruje dookola. Zemdlala i jak maly czarny wzgórek legla u stóp kaplanki.

- Nauczysz sie - mruknela Kossil. Stala nieruchomo i dyszala ciezko. - Nauczysz.

Rozdzial czwarty

Sny i opowiesci

Przez kilka dni Arha nie czula sie dobrze. Miala goraczke. Lezala w łózku albo odpoczywala na ganku Malego Domu, grzejac sie w lagodnym jesiennym sloncu i spogladajac na zachodnie wzgórze. Byla slaba i oszolomiona. Wciaz na nowo nawiedzaly ja te same mysli. Wstydzila sie swojego omdlenia.

Nie ustawiono strazy wzdluz Muru Grobowców, lecz teraz juz nie osmieli sie prosic o to Kossil. Nie chciala jej wiecej widziec. Nigdy. A to dlatego, ze bylo jej wstyd.

Czesto za dnia planowala, jak sie zachowa, gdy znów wejdzie w ciemnosc pod wzgórzem. I wiele razy zastanawiala sie, jaka smierc powinna wyznaczyc nastepnej grupie wiezniów: bardziej wymyslana, lepiej odpowiadajaca rytualom Pustego Tronu.

Kazdej nocy budzila sie w ciemnoscach z krzykiem:

- Jeszcze nie umarli! Oni wciąż umierają!

Wiele sniła. Sniła o tym, że musi gotować jedzenie: wielkie kotły pełne pożywej owsianki, które wylewała do dziury w ziemi. Sniła, że musi nieść pełen dzban wody: głęboki, mosiężny dzban dla kogosa, kto był spragniony. Nigdy do niego nie docierała. Budziła się i sama czuła pragnienie, ale nie wstawiała, by się napić. Leżała rozbudzona, z otwartymi szeroko oczami, w pokoju bez okien.

Pewnego ranka Penthe przyszła się z nią zobaczyć. Arha widziała z ganku, jak zbliża się do Małego Domu: na pozór niedbale i obojętnie, jak gdyby znalazła się tutaj zupełnie przypadkowo.

Gdyby Arha się nie odezwała, poszłyby dalej. Ale Arha czuła się samotna i przemówiła.

Penthe skłoniła się głęboko, jak każdy, kto podchodził do Kapłanki Grobowców, po czym energicznie usiadła na schodach, wydając z siebie dźwięk brzmiący jak flet. Była wysoka i pulchna, czerwieniła się przy najmniejszym wysiłku. Teraz też była zarumieniona po spacerze.

- Słyszałam, że jesteś chora. Przyniosłam ci parę jabłek. - Gdzieś spod obszernej czarnej szaty wyjęła wiklinowy koszyk, w którym leżało sześć czy osiem doskonale żółtych owoców. Penthe została konsekrowana do służby Bogu-Królowi i teraz pod komendą Kossil pomagała w jego świątyni. Nie była jeszcze kapłanką, więc uczyła się i pracowała razem z nowicjuszkami. - W tym roku z Poppe przebierałyśmy jabłka, więc schowałam te najlepsze. Zawsze je susza. Oczywiście, w ten sposób się nie psują, ale jednak szkoda. Czy nie są słiczne?

Arha dotknęła bładozłotyksamitnych skór, spojrzała na ogonki, których jeszcze trzymały się liście.

- Tak, są słiczne.

- Zjedz jedno - zachęciła Penthe.

- Nie teraz. Ale ty zjedz.

Penthe z grzeczności wybrała najmniejsze i zjadła je w dziesięciu soczystych, umiemytnych, smakowitych kęsach.

- Mogłabym jeść cały dzień - wyznała. - Nigdy nie mam dość. Szkoda, że nie jestem kucharką. Gotowałabym lepiej niż ta chuda Nathabba, a poza tym mogłabym wylizywać garnki. Słyszałaś o Munith? Miała wypolerować te mosiężne dzbanki, w których trzymają olejek różany, no wiesz, te wysokie i wąskie, z korkami. A ona myślała, że od środka też ma je wyczyścić, więc wsadziła rękę ze szmatką, wiesz, i potem nie mogła wyjąć. Ciągnęła z całej siły, aż spuchł jej nadgarstek, wiesz, tak że naprawdę wpadła. Biegła po wszystkich sypialniach i wrzeszczała: „Nie mogę wyciągnąć ręki! Nie mogę wyciągnąć ręki!” A Punt jest głuchy i myślał, że to pożar, więc zaczął poganiać innych dozorców, żeby ratowali nowicjuszki. Uahto był akurat przy dojeniu, wyleciał z zagrody i zostawił otwartą bramę, więc wszystkie kozy wybiegły i wpadły na dziedziniec, prosto na Punt, dozorców i te małe. A Munith ciągle wymachiwała dzbankiem na ręce i dostała histerii. Wszyscy biegali w kółko, a Kossil akurat wychodziła ze świątyni. No i pyta: „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?”

Jasna, okrągła buzia Penthe przybrała odpychający wyraz, wcale niepodobny do lodowatej miny Kossil, lecz jednocześnie tak przypominający kapłankę, że Arha parsknęła śmiechem, niemal przestraszona.

- „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?” pyta Kossil, i wtedy... wtedy ta brazowa koza... ubodła ją! -

Penthe śmiała się tak, że lzy stanęły jej w oczach. - A M-Munith walnęła te... te koze d-d-dzbankiem...

Dziewczeta kolysały się w spazmatycznym chichocie, obejmowały kolana ramionami i krztusiły się ze śmiechu.

- A Kossil odwróciła się i powiedziała „Co to ma znaczyć? Co to ma znaczyć?” do... do... do... kozy...
- Zakonczenie historii utonęło w wybuchach śmiechu. Wreszcie Penthe wytarła oczy i nos, po czym z roztargnieniem wyjęła z koszyka następne jabłko.

Śmiech sprawił, że Arha drżała jeszcze przez chwilę.

- Jak tu trafilas, Penthe? - spytała po chwili, gdy się wreszcie uspokoiła.

- Och, byłam szóstą dziewczynką, jaką mieli moja mama i tato. Po prostu nie mogli wychować nas tyłu i powydawać za maz. Więc kiedy skończyłam siedem lat, zaprowadzili mnie do świątyni i poświęcili Bogu-Królowi. To było w Ossawie. Mieli tam chyba za dużo nowicjuszek, bo wkrótce potem przysłali mnie tutaj. A może myśleli, że będę wyjątkowo dobrą kapłanką albo co... Ale pomylili się. - Penthe z zabawnie żalosa miną ugryzła jabłko.

- Wolalabys nie być kapłanką?

- Czy bym wolala? Oczywiście. Wolalabym raczej wyjść za swiniopasa i mieszkać w chlewie, niż do końca swoich dni tkwić pogrzebana za życia z tą kupą kobiet na pustyni, gdzie nikt nigdy nie przyjeżdża. Ale co mi z tego, że bym wolala, kiedy zostałam konsekrowana i wpadłam na dobre. Mam tylko nadzieję, że w następnym życiu będę tancerką w Awabath. Zasłużyłam na to.

Arha patrzyła na nią posepnie. Nie rozumiała. Miała wrażenie, że nigdy dotąd nie widziała Penthe, nigdy się jej nie przyglądała, nie dostrzegała jej, tak soczystej i pełnej życia jak jedno z tych złotych jabłek, na które przyjemnie było spojrzeć.

- Czy Świątynia nic dla ciebie nie znaczy? - zapytała dość szorstkim tonem.

Zawsze pokorna i łatwa do zastraszenia Penthe tym razem nie straciła rezonu.

- Och, wiem, że twoi Władcy są dla ciebie ważni - odparła z obojętnością, która Arhe zaszokowała. - To oczywiste, skoro jesteś ich jedyną, wyjątkową służką. Nie byłaś zwyczajnie konsekrowana, ale specjalnie po to się urodziłaś. Ale spójrz na mnie. Czy mam odczuwać lek, szacunek i tak dalej dla Boga-Króla? W końcu to tylko człowiek, nawet jeśli mieszka w Awabath, w pałacu na dziesięć mil dookoła i ze złotymi dachami. Ma jakieś pięćdziesiąt lat i jest łysy. Widac to na wszystkich jego posagach. Załóż się, że tak jak wszyscy musi sobie obcinać paznokcie. Wiem dobrze, że jest też bogiem. Ale moim zdaniem po śmierci nabierze dużo więcej boskości.

Arha przyznawała Penthe rację, gdyż w głębi duszy sama uważała samozwanych Świątobliwych Imperatorów Kargadu za oszustów, fałszywych bogów próbujących odebrać część należną prawdziwym i wiecznym Potegom. W słowach dziewczyny pobrzmięwało jednak coś takiego, z czym nie mogła się pogodzić, coś całkowicie obcego, budzącego lek. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ludzie różnią się od siebie, w jak różny sposób patrzą na życie. Miała uczucie, że spostrzegła całkiem nową planetę, wielką i zaludnioną, która nagle zawisła tuż za oknem: zupełnie obcy świat, w którym bogowie nie mają znaczenia. Siła niewiary Penthe przeraziła ją. A przerażona Arha zaatakowała.

- To prawda. Moi Władcy są martwi od bardzo dawna. I nigdy nie byli ludźmi... Wiesz, Penthe,

mogłabym cię powołać do służby Grobowcom... - Mówiła uprzejmie, jakby proponowała przyjaciółce przysługę.

Rumieniec zniknął z policzków Penthe.

- Tak - odparła. - Mogłabys. Ale ja... Ja nie służyłabym dobrze.

- Dlaczego?

- Boję się ciemności - szepnęła Penthe.

Arha prychnęła z pogardą, była jednak zadowolona. Udowodniła swój punkt widzenia. Penthe mogła nie wierzyć w bogów, ale bała się nie nazwanych sił ciemności - tak samo jak wszyscy śmiertelni.

- Wiesz, że nie zrobiłabym tego, gdybyś sama nie chciała - zapewniła.

Milczały przez długą chwilę.

- Coraz bardziej przypominasz Thar - odezwała się wreszcie Penthe w zamysleniu. - Dzięki bogom, nie robisz się podobna do Kossil. Ale jesteś silna. Chciałabym być taka silna. A ja tylko lubię jeszcze...

- Nie krepuj się - zachęciła ją Arha, po czym z poczuciem wyższości i z rozbawieniem obserwowała, jak Penthe powoli zjada trzecie jabłko.

Kilka dni później nie kończące się obowiązki rytuałów Miejsca wyrwały Arhe z odosobnienia. Jedną z kóz urodziła para młodych poza sezonem i obyczaj nakazywał ofiarować je Blizniaczym Boskim Braciom - ważna ceremonia, na której Pierwsza Kapłanka musiała być obecna. Potem wypadła pora nowiu i trzeba było dopełnić rytuału ciemności przed Pustym Tronem. Arha wdychała oszalamiające opary ziół płonących w płaskich misach z brązu i tańczyła samotnie u stóp Tronu. Tańczyła dla niewidzialnych duchów umarłych i nie narodzonych, i w miarę tańca te duchy zbierały się w powietrzu wokół niej, powtarzając skrety i przesunięcia stóp, wolne i pewne ruchy ramion. Śpiewała piosenkę, której słów żaden człowiek nie rozumiał, a której sylabę po sylabie nauczyła się od Thar. Chór kapłanek ukrytych w mroku za podwójnym szeregiem kolumn recytował za nią obce słowa, a powietrze w ogromnej, zrujnowanej sali rozbrzmiewało głosami, jak gdyby stłoczone wokół duchy także powtarzały piosenkę, znowu i znowu.

Bóg-Król w Awabath nie przysyłał do Miejsca kolejnych więźniów i Arha przestała snuć o tamtych trzech, teraz już dawno martwych i pogrzebanych w płytkich mogiłach w wielkiej grocie pod Kamieniami.

Musiała przywołać na pomoc całą swoją odwagę, by wrócić do tej groty. Musiała wrócić - Kapłanka Grobowców nie mogła się lekceważąco do swojej dziedziny.

Pierwsze zejście przez kłapę było trudne, lecz nie tak trudne, jak się obawiała. Przygotowała się dobrze i czuła taką determinację, by wkroczyć tam i nie stracić spokoju, że kiedy to nastąpiło, była niemal rozczarowana, że nie ma się czego bać. Były tam groby, ale nie widziała ich, nie widziała niczego. Panowała ciemność. I cisza. Nic więcej.

Dzień po dniu zstępowała pod ziemię, zawsze przez kłapę w pokoju za Tronem, aż poznała przedziwnie rzeźbione ściany groty tak dokładnie, jak można poznać to, czego się nie da zobaczyć. Nigdy nie

odstępowała tych scian, gdyż ruszając na przelaj przez wielką pustkę, wśród czerni łatwo mogła stracić poczucie kierunku i dotknawszy w końcu ściany nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Już za pierwszym razem nauczyła się bowiem, że najważniejsza w ciemności jest wiedza, które korytarze i rozwidlenia już minęła, a jakie są jeszcze przed nią. W tym celu musiała je liczyć, gdyż w dotyku wszystkie zdawały się identyczne. Wycwiczona pamięć bez trudu opanowała taki sposób odnajdowania drogi: z pomocą rak i numeracji, zamiast wzroku i orientacji w terenie. Wkrótce poznała wszystkie przejścia otwierające się do Podgrobia, mniejszego obszaru pod Salą Tronu i szczytem wzgórza. Tylko do jednego korytarza nie weszła nigdy: drugiego po lewej stronie, licząc od wejścia przez bramy w czerwonej skale. Gdyby tam skręciła, biorąc go za jeden z poznanych już tuneli, mogłaby nigdy nie znaleźć drogi powrotnej. Lecz coraz bardziej narastało w niej pragnienie, by go zbadać, by wejść do Labiryntu. Powstrzymywała się do chwili, gdy dowie się wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć na powierzchni ziemi.

Thar nie wiedziała zbyt wiele. Jedynie nazwy niektórych komnat i listę wskazań, w które korytarze skręcać i które omijać, by się tam dostać. Powtarzała je na prośbę Arhy, lecz nigdy nie chciała wyrysować drogi na piasku ani nawet opisać jej gestem ręki. Nigdy nie była w Labiryncie, nigdy nie przeszła tych dróg. Gdy jednak Arha pytała: „Jak dojść od stojących otworem żelaznych wrót do Malowanej Komnaty?” albo „Jak biegnie droga z Komnaty Kosci do tunelu przy rzece?”, Thar milkła na chwilę, po czym recytowała wskazówki, których nauczyła się od Arhy-która-odeszła: minąć tyle a tyle korytarzy, tyle a tyle razy skręcić i tak dalej i tak dalej. Instrukcji tych Arha uczyła się na pamięć, jak dawniej Thar, i często znalazła je już po pierwszym wysłuchaniu. Nocą, leżąc w łóżku, powtarzała je w myślach, próbując wyobrazić sobie te miejsca, komnaty i rozwidlenia.

Thar pokazała jej wiele otworów, przez które można było zajrzeć do podziemi. Były wszędzie, w każdym budynku i świątyni, a nawet na dworze, pod kamieniami. Pajeczka sieć kamiennych tuneli oplatała całe Miejsce, sięgając nawet poza mury, na dole, w ciemnościach, korytarze ciągnęły się całymi milami. Nikt prócz niej, dwóch Najwyższych Kapłanek i ich wybranych sług - eunuchów Manana, DUBY'EGO i Uahto - nie miał pojęcia o istnieniu Labiryntu, nad którym zamieszkiwali. Kłamały tylko plotki, wszyscy wiedzieli o grotach czy jakichś komnatkach pod Kamieniami Grobowymi. Nikt jednak nie interesował się przesadnie tym, co miało związek z Bezimiennymi i ich świątyniami i miejscami. Chyba uważano, że im mniej się wie, tym lepiej. Arha, naturalnie, była bardzo ciekawa, wiedząc, że istnieją, wszędzie szukała wizerów pozwalających zajrzeć do Labiryntu. Były jednak dobrze ukryte. Dopóki Thar jej nie pokazała, nie znalazła nawet tego, który znajdował się w jej własnym Małym Domu.

Pewnej nocy wczesną wiosną wzięła latarnie i zeszła w dół. Nie zapalając światła minęła Podgrobie i skręciła w drugi korytarz w lewo, licząc od bramy w czerwonej skale.

Po trzydziestu krokach minęła umocowana w skale żelazna rama wrót, do tego dnia najdalsza granica jej wypraw. Za żelaznymi wrótami ruszyła tunelem, a kiedy zaczął skręcać w prawo, zapaliła świecę w latarni i rozejrzała się dookoła. Tutaj światło było dozwolone. Opuszczała Podgrobie. Znalazła się w miejscu może nie tak świątym, lecz chyba straszniejszym: w Labiryncie.

Surowe nagie ściany, strop i skala pod nogami otaczały ją w niewielkiej sferze rozjaśnionej światłem latarni. Powietrze zdawało się martwe. Przed nią i z tyłu korytarz ginał w ciemności.

Wszystkie tunele były podobne, krzyżowały się i rozwidlały. Liczyła starannie zakrety i ominięte wyloty, wciąż powtarzając sobie w pamięci wskazówki Thar, mimo że znalazła je doskonale. Nie byłoby dobrze zgubić się w Labiryncie. W Podgrobium i krótkich korytarzach wokół niego Kossil lub Thar potrafiłyby ją odnaleźć, mógłby przyjąć Manan, gdyż kilka razy zabrała go ze sobą. Lecz tego miejsca nie odwiedziła nigdy żadne z nich, tylko ona. Niewiele by pomogło, gdyby zeszli do Podgrobia i wołali ją, zagubiona w jakimś kretym tunelu o pół mili od nich. Wyobraziła sobie, że słyszy echo ich krzyków odbijające się we wszystkich przejściach, i siebie, jak stara się znaleźć drogę i gubi ją coraz bardziej. Widziała wszystko

tak wyraźnie, że stanela w miejscu - zdawało jej się, że słyszy dalekie wołanie. Ale to było złudzenie. Ona nie mogła się zgubić. Uważała bardzo, a tu było jej miejsce, jej domena. Moce ciemności, Bezimienni, pokierują jej krokami, tak jak doprowadza do zguby każdego innego śmiertelnika, który osmieleł się wejść do Labiryntu Grobowców.

Za pierwszym razem nie doszła zbyt daleko, wystarczająco jednak, by wzmocniło się dziwne, gorzkie, lecz przyjemne wrażenie, że jest tutaj całkowicie samotna i niezależna od nikogo. To uczucie kazało jej wracać tu znowu i znowu, za każdym razem dalej. Dotarła do Malowanej Komnaty, do Szesciu Dróg, przeszła długim Najdalszym Tunelem i pokonała splecione korytarze wiodące do Komnaty Kosci.

- Kiedy powstał Labirynt? - spytała kiedyś Thar, a chuda, surowa kapłanka odpowiedziała:

- Nie wiem, pani. Nikt tego nie wie.

- W jakim celu go zbudowano?

- By ukryć skarby Grobowców i by karać tych, którzy chcą te skarby ukraszać.

- Wszystkie skarby, jakie widziałam, schowane są w pomieszczeniach za Tronem i w piwnicach pod nim. Co jest w Labiryncie?

- Daleko większy i starszy skarb. Czy chcesz go zobaczyć?

- Tak.

- Nikt prócz ciebie nie ma prawa wejść do Skarbca Grobowców. Możesz zabierać swe sługi do Labiryntu, ale nigdy do Skarbca. Choćby to był tylko Manan, zbudzi gniew ciemności i nie zdoła opuścić Labiryntu żywy. Musisz chodzić zawsze sama. Wiem, gdzie leży Wielki Skarb. Nauczyłaś mnie tej drogi piętnaście lat temu, zanim umarłaś, bym pamiętała i powtórzyła ci po powrocie. Wytlumaczę ci, jaką drogą masz iść przez Labirynt poza Malowaną Komnatą. Klucz do Skarbca to ten srebrny w twoim peku, z symbolem smoka na piórze. Ale musisz iść sama.

- Powiedz, jak wiedzie droga.

Thar powiedziała, a Arha zapamiętała, jak pamiętała wszystko, co jej mówiono. Ale nie poszła popatrzeć na Wielki Skarb Grobowców. Powstrzymało ją przecucie, że jej wola lub wiedza nie są jeszcze dostateczne. A może chciała po prostu zachować coś w rezerwie: coś, na co mogłaby się cieszyć, wędrując w mroku przez nieskończoną sieć tuneli, kończących się zawsze ślepa ściana lub pusta, zakurzona komora. Postanowiła zacząć z oglądaniem swych skarbów.

W końcu, czyż nie widziała ich przedtem?

Wciąż czuła pewien niepokój, gdy Kossil i Thar mówiły jej o tym, co zobaczyła lub powiedziała, zanim umarła. Wiedziała, że naprawdę umarła i odrodziła się w nowym ciele, w godzinie śmierci starego. Nie tylko raz, piętnaście lat temu, lecz także pięćdziesiąt lat temu, i przedtem, i jeszcze przedtem, dziesiątki i setki lat wcześniej, pokolenie przed pokoleniem aż do początków czasu, kiedy wykopano Labirynt i ustawiono Kamienie, a Pierwsza Kapłanka Bezimiennych zamieszkała w tym Miejscu i tańczyła przed Pustym Tronem. Były jedna istota, one wszystkie i ona, Pierwsza Kapłanka. Wszyscy ludzie się odradzają, ale tylko Arha zawsze odradzała się we własnej postaci. Setki razy poznawała rozwidlenia i zakrety Labiryntu, by dojść wreszcie do tajemnej komory.

Czasem zdawało jej się, że pamięta. Mroczne miejsca pod wzgórzem wydawały się tak znajome, jakby były nie tylko jej dziedziną, ale domem. Kiedy wdychała oszalamiające opary, by tańczyć o nowiu księżycy, głowa stawała się lekka, a ciało nie należało już do niej, tańczyła wtedy poprzez wieki, bosa, w czarnych szatach, wiedząc, że ten taniec nigdy nie ustawał.

Mimo to dziwnie się czuła, gdy Thar mówiła: „Powiedziałaś mi, zanim umarłaś...”

- Kim byli ludzie, którzy chcieli okraszc Grobowce? - spytała kiedyś. - Czy w ogóle ktoś tego próbował?

Mysł o złodziejach uznano za podniecającą, lecz mało prawdopodobną. Jak ktokolwiek mógł w tajemnicy zbliżyć się do Miejsca? Pielgrzymi przybywali rzadko, rzadziej nawet niż więźniowie. Od czasu do czasu z pomniejszych świątyn Czterech Wysp przysyłano nowicjuszek lub niewolników, czasem zjawiała się niewielka grupa ludzi, by złożyć w ofierze złoto lub cenne kadzidło. To wszystko. Nikt nie przybywał przypadkiem ani by coś sprzedać lub kupić, ani oglądać, ani krążyć. Zjawiali się tylko ci, którym rozkazano. Arha nie wiedziała nawet, jak daleko jest do najbliższego miasteczka: dwadzieścia mil czy więcej. A najbliższe miasteczko było bardzo małe. Pustka i samotność strzegły Miejsca. Ktokolwiek próbowałby przekroczyć otaczającą je pustynię, byłby widoczny jak czarna owca na śniegu.

Tego dnia była z Thar i Kossil, z którymi spędzała większość czasu, gdy nie przebywała w Małym Domu ani pod wzgórzem. Kwietniowa noc była burzliwa i zimna. Siedziały przy ogniu płonącym na kominku w pokoju za świątynią Boga-Króla, pokoju Kossil. Za drzwiami Manan i DUBY grali w patyczki i kamienie: podrzucali do góry pek patyczków tak, by jak najwięcej złapać na grzbiet dłoni. Manan i Arha często grali w tajemnicy w tę grę na wewnętrznym dziedzińcu Małego Domu. Gdy trzy kapłanki milkiły, słychać było jedynie stuk spadających patyczków, pomruki graczy i cichy trzask ognia. Za ścianami trwała głęboka cisza pustynnej nocy. Od czasu do czasu dobiegał szum krótkotrwałego, rzesistego deszczu.

- Dawno temu wielu tu przybywało, by okraszc Grobowce. Nikomu jednak się to nie udało - rzekła Thar. Choć milkiła, lubiła czasem opowiedzieć jakąś historię i traktowała to jako naukę dla Arhy. Tej nocy sprawiała wrażenie, że da się namówić.

- Jak ktoś mógł się osmielić?

- *Oni* mieli dość śmiałości - odparła Kossil. - To czarownicy, magowie z Wewnętrznych Krain. Działo się to, zanim Bóg-Król objął władzę na Wyspach Kargadu, wtedy nie byliśmy jeszcze tak potężni. Magowie przybywali z zachodu do Karego-At i Atuanu, by plądrować nasze nadbrzeżne miasta i napadać na farmy: podchodzili nawet pod mury Świętego Miasta Awabath. Twierdzili, że przybywają zabijać smoki, ale zostawiali rabować wioski i świątynie.

- A ich bohaterowie przybywali, by wypróbować tu swoje miecze - wtraciła Thar. - I rzucić bezbożne zaklęcia. Jeden z nich, potężny czarownik i pan smoków, największy ze wszystkich, poniósł tu klęskę. Działo się to dawno, bardzo dawno temu, ale ta historia nie poszła w zapomnienie i to nie tylko tutaj. Czarownik nazywał się Erreth-Akbe. Był królem i magiem na Zachodzie. Zjawił się na naszej ziemi, by w Awabath połączyć się z pewnymi zbuntowanymi kargijskimi książętami. Tam walczył o władzę nad miastem z Najwyższym Kapłanem Wewnętrznej Świątyni Bliźniaczych Bóstw. Długo walczyli, czary obcego przeciw błyskawicom bogów, a świątynia wokół nich została zupełnie zniszczona. W końcu Najwyższy Kapłan złamał magiczną laszkę czarownika, przelamał na pół amulet jego mocy i pokonał go. Tamten uciekł z miasta, z Wysp Kargadu, uciekał przez całe Ziemiomorze aż na najdalszy zachód, i tam

zabij go smok, gdyż czarownik utracił swą siłę. Od owego dnia potęga i moc Wewnętrznych Krain wciąż maleje. Najwyższy Kapłan zaś, imieniem Intathin, był pierwszym z rodu Tarb, który... gdy wypełniły się przepowiednie i stulecia... wydał Królów-Kapłanów Karego-At, od których pochodzą Bogowie-Królowie całego Kargadu. Tak więc od dnia Intathina wciąż rośnie potęga i moc kargijskich wysp. Ci, którzy próbowali okraszyć Grobowce, byli czarownikami, raz po raz próbującymi odzyskać połowę amuletu Erreth-Akbego. Ale on wciąż leży tam, gdzie ukrył go Najwyższy Kapłan. Tam, gdzie ich kości... - Thar wskazała ziemię pod swymi stopami. - A druga połowa zaginęła na zawsze.

- Jak zaginęła? - spytała Arha.

- Jedna połowa została w ręku Intathina, który ofiarował ją Skarbcowi Grobowców, gdzie winna spoczywać bezpiecznie przez wieczność. Druga wydarł czarownik, lecz zanim uciekł, podarował ją drobnemu władcy, jednemu z buntowników, zwanemu Thoregiem z Hupun. Nie wiem, czemu to zrobił.

- By doprowadzić do zamieszek, by wzbudzić w Thoregu pychę - oświadczyła Kossil. - I osiągnął swój cel. Następcy Thorega zbuntowali się znowu, gdy władał ród Tarb. Jeszcze raz chwycili za broń przeciw pierwszemu Bogu-Królowi, gdyż nie chcieli uznać go ani za boga, ani za króla. Byli przeklętym, zaklętym rodem. Żaden z nich już nie żyje.

Thar kiwnęła głową.

- Ojciec naszego obecnego Boga-Króla, Władca-Co-Powstał, zniósł rodzinę Hupun i zburzył ich pałac. Gdy tego dokonał, zaginęła połowa amuletu, którą przechowywali od dnia Erreth-Akbego i Intathina. Nikt nie wie, co się z nią stało. A działo się to w młodości minionego pokolenia.

- Na pewno wyrzucono ją jak śmieć - oświadczyła Kossil. - Mówią, że ten Pierścien Erreth-Akbego robił wrażenie całkiem bezwartościowego. Niech będzie przeklęty on i wszystkie rzeczy tego ludu magików! - Kossil splunęła w ogień.

- Oglądałaś kiedyś te połowe, co leży tutaj? - Arha zwróciła się do Thar.

Kobieta pokręciła głową.

- Jest w Skarbcu, gdzie nie może wejść nikt prócz Jedynej Kapłanki. Być może jest najwspanialszym skarbem tam złożonym. Nie wiem. Myślę, że tak. Od setek lat Wewnętrzne Krainy przysyłają tu złodziei i magów, by próbowali go odzyskać, a oni przechodzą obojętnie obok otwartych skrzyń pełnych złota. Szukają tylko jednego. Wiele czasu minęło od dnia Erreth-Akbego i Intathina, lecz te opowieści znają i powtarzają tutaj i na Zachodzie. Większość rzeczy starzeje się i znika w miarę jak płyną wieki. Niewiele cennych przedmiotów pozostaje cennymi i niewiele historii się pamięta.

Arha zadumała się.

- Musieli być bardzo odważni - odezwała się po chwili. - Albo bardzo głupi, by wkroczyć na teren Grobowców. Czy nie znają potęgi Bezimiennych?

- Nie - odparła swym zimnym głosem Kossil. - Nie mają bogów. Czynią czary i uważają, że sami są bogami. Ale to nieprawda. Kiedy umierają, nie odradzają się znowu. Rozsypują się ich kości, a duchy rozpaczają przez krótki czas, nim nie rozwieje ich wiatr. Nie mają duszy niesmiertelnej.

- A jak działają te ich czary? - spytała zaskoczona Arha. Nie pamiętała już, jak kiedyś zapewniała, że nawet by nie popatrzyła na statki z Wewnętrznych Krain. - Jak oni to robią? I jak to działa?

- Sztuczki, oszustwa i kuglarstwo - orzekła Kossil.

- Cos wiecej - zaprotestowała Thar. - Jesli dawne opowiesci sa choc w czesci prawdziwe. Magowie Zachodu potrafia zbudzic lub uciszyc wiatr, lub kaza mu wiac gdzie zapragna. To potwierdzaja wszyscy i wszyscy powtarzaja te opowiesci. Dlatego wlasnie czarownicy sa tak wspanialymi zeglarzami. Potrafia wypelnic zagle czarodziejskim wiatrem, plynac gdzie zechca, uciszac sztormy. Mówi sie tez, ze umieja stworzyc swiatlo i ciemnosc, zmieniac kamienie w diamenty i olów w zloto, ze w jednej chwili moga zbudowac wielki palac, a nawet cale miasto, przynajmniej na pozór, ze moga sie zmieniac w niedzwiedzie, ryby, smoki... w co tylko zechca.

- Nie wierze - oswiadczyla Kossil. - Sa niebezpieczni, pelni subtelnych sztuczek, sliscy jak wegorze... To owszem. Ale mówia, ze kiedy zabrac czarownikowi jego drewniana laske, traci swoja moc. Zapewne na tych laskach wyryte sa straszne runy.

Thar znowu pokrecila glowa.

- Istotnie maja laski, ale to tylko narzedzia mocy, która nosza w sobie.

- A skad sie bierze ta moc? - spytala Arha. - Skad pochodzi?

- Z kłamstwa - odparla Kossil.

- Ze słów - wyjasnila Thar. - Tak opowiadal mi ktos, kto widzial wielkiego czarownika z Wewnetrznych Krain, Maga, jak ich nazywaja. Przywiezli go jako jenca z wyprawy na Zachód. Pokazal im suchy kij, wyrzekl slowo i nagle kij rozkwitl. Wyrzekl inne slowo i kij zrodzil czerwone jablka. Potem wyrzekl jeszcze jedno slowo i kij, kwiaty, jablka, wszystko zniknelo, a razem z nimi czarownik. Z jednym slowem rozplynal sie jak tecza, jak blysk, bez sladu. Nigdy go nie znalezli na tej wyspie. Czy to zwykle kuglarstwo?

- Latwo jest oglupic glupców - stwierdzila Kossil.

Thar zamilkla, by uniknac klótni. Arha jednak nie chciala porzucac tematu.

- Jak wyglada ten lud czarowników? - zapytala. - Czy naprawde sa cali czarni i maja biale oczy?

- Sa czarni i ohydni. Nigdy zadnego nie widzialam - oswiadczyla z satysfakcja Kossil. Pochylila swe ciezkie cialo, wyciagajac dlonie do ognia.

- Niech Boscy Bracia trzymaja ich z dala od nas - szepnela Thar.

- Nigdy wiecej nie przyjda - rzekla Kossil.

Trzasnely plomienie, zastukaly o dach krople deszczu, a w mrocznym korytarzu Manan krzyknal przenikliwie: „Ha! Polowa dla mnie! Polowa!”

Rozdział piaty

Światło pod Wzgórzem

Kolejny rok chylił się ku zimie. Umarła Thar. Latem zapadła na jakąś chorobę: zawsze chuda, teraz przypominała szkielet, posepna, teraz przestała się odzywać. Tylko z Arha rozmawiała czasem, gdy były same. Potem zaprzestała nawet tego i w milczeniu odeszła w ciemność. Arha tęskniła za nią bardzo. Thar była wprawdzie surowa, lecz nigdy okrutna. Uczyla Arhe dumy, nie strachu.

Teraz pozostała tylko Kossil.

Wiosna miała przybyć z Awabath nowa Najwyższa Kapłanka Świątyni Blizniaczych Bóstw, a do tego czasu Arha i Kossil wspólnie zarządzały Miejscem. Kobieta zwracała się do dziewczyny: „Pani” i była posłuszna jej rozkazom. Lecz Arha nauczyła się, by rozkazów nie wydawać. Miała do tego prawo, ale brakowało jej siły, a potrzebowałyby wiele sił, by sprzeciwić się Kossil i jej zazdrości o wyższą godność, jej nienawisć do wszystkiego, czego nie mogła kontrolować.

Odkąd - dzięki pokornej Penthe - Arha poznała niewiare i pogodziła się z jej istnieniem, potrafiła spokojnie i ze zrozumieniem przyglądać się Kossil. W głębi serca Kossil nie żywiła czci ani dla Bezimiennych, ani dla bogów. Niczego nie uważała prócz władzy. Te władze dzierżył Imperator Wysp Kargadu, był więc w jej oczach prawdziwym Bogiem-Królem i służyła mu dobrze. Lecz świątynie były dla niej jedynie czymś na pokaz, Kamienie Grobowe odłamkami skały. Grobowce Atuanu ciemnymi dziurami w ziemi - strasznymi, lecz pustymi. Gdyby mogła, zakazałaby składania holdów przed Pustym Tronem. Gdyby się odważyła, pozbyłaby się pierwszej Kapłanki.

Nawet to Arha przyjmowała ze spokojem. Może dzięki Thar, choć ta nigdy niczego nie powiedziała wprost. W pierwszym stadium swej choroby, zanim umilkła ostatecznie, prosiła Arhe, by odwiedzała ją co kilka dni. Rozmawiały wtedy, a Thar mówiła o czynach Boga-Króla i jego poprzedników, o życiu w Awabath - o rzeczach, które Arha powinna wiedzieć jako wysoko postawiona kapłanka, lecz które rzadko były pochlebne dla Boga-Króla i jego dworu. Opowiadała też o własnym życiu i o tym, jak wyglądała i co robiła Arha przed śmiercią. Czasem wspominała też o sprawach mogących jej zagrażać lub sprawiać trudności w obecnym życiu. Ani razu nie wymieniła imienia Kossil. Arha jednak była uczennicą Thar od jedenastu lat i wystarczyło jej napomknięcie czy zmiana tonu, by zrozumiała i zapamiętała.

Kiedy dobiegły końca posepne ceremonie żałoby, Arha starała się unikać Kossil. Po wykonaniu codziennych obowiązków i dopełnieniu rytuałów wracała do swej samotnej siedziby. Gdy tylko pozwalał jej czas, szła do komory za Tronem, otwierała klapy w podłodze i schodziła w ciemność. Dniem czy nocą - na dole nie było między nimi różnicy - prowadziła systematyczne badania swej domeny. Do Podgrobia, świętego miejsca, mogły wchodzić jedynie kapłanki i ich najbardziej zaufani słudzy. Każdy inny mężczyzna czy kobieta, którzy by tu trafili, zgineliby z pewnością razeni gniewem Bezimiennych. Lecz wśród reguł, które poznała, żadna nie zakazywała wkraczania do Labiryntu. Nie było potrzeby. Można było tam wejść jedynie przez Podgrobie, zresztą, czy muchy potrzebują prawa, które by im zakazywało wlatywać w pajecza sieć?

W bliskie rejony Labiryntu często zabierała Manana, by poznać ważniejsze drogi. Szedł bez entuzjazmu, ale nie protestował. Arha upewniła się też, że słudzy Kossil, DUBY i Uahto, wiedzą jak dotrzeć do

Komnaty Lancuchów i potrafią wyjść z Podgrobia. Nic więcej. Nigdy nie brała ich do Labiryntu. Nie chciała, by ktokolwiek poza całkowicie jej oddanym Mananem poznał te tajemne korytarze. Należały bowiem do niej i tylko do niej, na zawsze. Zaczęła dokładne badania Labiryntu. Wiele jesiennych dni spędziła chodząc po nie mających końca tunelach, a wciąż istniały regiony, do których nigdy nie dotarła. Była zmęczona śledzeniem ogromnej, bezsensownej pajęczyny dróg, nogi ją bolały i znużenie ogarniało umysł, wciąż zajęty liczeniem zakretów i wylotów, które ominęła i które miała przed sobą. Labirynt był cudem: wytyczony w skale jak wielkie miasto, stworzony jednak, by męczyć i nużyć chodzących po nim śmiertelników. Nawet jego kapłanka musiała wyczuwać, że nie jest on niczym innym jak tylko wielka pułapka.

Tak więc, w miarę jak upływała zima, zajęła się dokładnym badaniem samej Sali, ołtarzy, komór za i pod ołtarzami, pokoi pełnych skrzyń i pudrów, zawartości tych skrzyń i pudrów, przejść i schowków, pełnych kurzu miejsc pod kopułą, gdzie gnieździły się setki nietoperzy, piwnic i podpiwniczeń będących przedpokojami korytarzy ciemności.

Z dłońmi i rekawami uperfumowanymi suchą słodyczą mchu, który rozsypał się w pył, nie ruszany od osmiu stuleci, z czołem umazanym lepkiem brudem pajęczyn, kleczała czasem godzinami studiując rzeźby na pięknym, nadgryzionym zębem czasu kufrze z cedrowego drewna - darze dla Bezimiennych Mocy Grobowców od jakiegoś króla sprzed wieków. Przedstawiono tam samego króla: malenka, wyprostowana postać z wielkim nosem, i Sali Tronu ze spłaszczoną kopułą i kolumnami przed bramą, wszystko wyryte delikatnie przez artystę od setek lat będącego tylko pyłem. Na płaskorzeźbie widziała Jedyną Kapłankę, jak wdycha oszalamiające opary z brązowych mis i przepowiada albo doradza królowi, którego nos odłamał się na tym fragmencie wieka. Twarz Kapłanki była zbyt mała, by rozróżnić rysy, lecz Arha wyobrażała sobie, że to jej własne oblicze. Zastanawiała się, co powiedziała wtedy królowi i czy był jej wdzięczny.

Miała w Sali Tronu swoje ulubione miejsca, jak inne dziecko mogłoby je mieć w domu zalanym słońcem. Często wracała na mały stryszek ponad jedną z komnat służących za garderoby w tylnej części Sali. Złożono tu dawne szaty i kostiumy, pozostałe z czasów, gdy wielcy królowie i księżeta przybywali składać hołdy w Miejscu Grobowców Atuanu, uznając potęgę większą niż ich własną i jakiegokolwiek śmiertelnika. Czasami ich córki, księżniczki, wkładały te białe jedwabie zdobione topazami i ciemnymi ametystami, by tańczyć z Kapłanką Grobowców. Znalazła małe, malowane stoliki z kosi słoniowej, gdzie przedstawiono taki taniec, a także księzat i królów czekających przed bramą, gdyż ani wtedy, ani teraz żaden mężczyzna nie mógł postawić stopy na ziemi Grobowców. Jednak dziewczęta, odziane w biały jedwab, mogły wejść i tańczyć z Kapłanką. Sama Kapłanka zawsze, wtedy i teraz, nosiła szorstką, czarną, recznie tkaną szatę. Arha lubiła jednak przychodzić tu i dotykać miękkiego, przegniłego już materiału i klejnotów odrywających się od tkaniny pod własnym niewielkim ciężarem. Z tych skrzyń unosił się zapach różny od woni mchu i kadzidła świątyni, bardziej świeży i delikatny - aromat młodości.

W skarbcach spędzała czasem całą noc, klejnot po klejnocie poznając zawartość jakiejś skrzyni, przerdzewiała broje, połamany pióropusz helmu, kłamry, szpile i brosze z brązu, kutego srebra lub litego złota.

Nie przestraszone jej obecnością sowy siedziały na krokwiach, mrużąc swe żółte oczy. Światło gwiazd wślizgiwało się przez dachówki, często sypał śnieg, delikatny i zimny jak te stare jedwabie, rozpadające się w nicosć pod dotknięciem ręki.

Pewnej nocy stwierdziła, że w Sali jest zbyt zimno. Poszła do klapy, podniosła, zsunęła się na stopnie i zamknęła ją nad sobą. Potem ruszyła wśród ciszy dobrze już poznana droga: korytarzem do Podgrobia. Tam, naturalnie, nigdy nie paliła światła. Jeśli miała latarnie, czy to iść do Labiryntu, czy też aby noca nie potykać się na drodze nad ziemią, gasiła ją, zanim zbliżyła się do wielkiej groty. Nigdy jej nie oglądała,

nigdy, przez wszystkie generacje swego kaplanstwa. Teraz także zdmuchnęła świece i nie zwalniając kroku szła przez ciemność, zwinna jak ryba w ciemnych wodach. Tutaj, zimą czy latem, nie istniało zimno ani gorąco, niezmiennie panował ten sam chłód i lekka wilgoć. Na górze lodowate wichry dmuchały śniegiem przez pustynię. Tu nie było wiatru, nie było pór roku. Grota trwała zamknięta, nieruchoma, bezpieczna.

Arha zmierzała do Malowanej Komnaty. Od czasu do czasu lubiła tam chodzić i przyglądać się niezwyklej ściennym malowidłom, które blask lampy wydobywał z ciemności. Przedstawiały ludzi z wielkimi skrzydłami, poważnych i smutnych. Nikt nie mógł jej wyjaśnić, kim byli, gdyż nigdzie indziej w Miejscu nie było takich obrazów. Sądziła jednak, że to duchy przeklętych, którzy nie mogą się odrodzić. Malowana Komnata leżała w głębi Labiryntu, więc Arha musiała najpierw przejść przez wielką grocie pod Kamieniami Grobowymi. A kiedy zbliżała się do niej opadającym w dół korytarzem, dostrzegła nagle, że w mroku rozkwita delikatna szarość, jakby wspomnienie blasku, echo echa odległego światła.

Sądziła, że to złudzenie, częste w absolutnej ciemności. Zamknęła oczy i poblask zniknął. Otworzyła - i pojawił się znowu.

Zatrzymała się i stanęła nieruchomo. Szarość, nie ciemność... Ślad światła tam, gdzie nic nie mogło być widoczne, gdzie mogła istnieć tylko ciemność.

Postąpiła kilka kroków przed siebie i wysunęła rękę za skret ściany tunelu. Niewyraźnie i nieskonczenie delikatnie, widziała jednak kontury swej dłoni.

Szła dalej. Rzecz była tak niezwykle, że nie budziła leku - ów wykwit światła tam, gdzie nigdy go nie było, w najgłębszym grobowcu ciemności. Szła bezgłośnie, bosa, w czarnej szacie. Zatrzymała się przed ostatnim zakretem, potem wolno zrobiła jeszcze jeden krok... Spojrzała i zobaczyła.

Zobaczyła to, czego nie widziała nigdy, choć była już tysiące razy: wielka, sklepią grocie pod Kamieniami Grobowymi, nie ludzka reka stworzona, lecz mocami Ziemi. Zdobiły ją klejnoty kryształów i ornamenty stalaktytów, koronki siarki tam, gdzie całe epoki temu działała woda. Była olbrzymia. Strop i ściany migotały, skrzyły się delikatnymi, zawilgocionymi wzorami, pałac diamentów, dom ametystów i kryształu, z którego gloria blasku przegnała pradawna ciemność.

Światło, które działo ten cud, nie było zbyt jasne, oslepiało jednak przyzwyczajone do mroku źrenice. Było delikatnym isnieniem, blednym ognikiem płynącym wolno przez grocie, budzącym tysięczne rozbłyski w klejnotach sklepienia, poruszającym na ścianach tysiące fantastycznych cieni.

Światło plonęło na czubku drewnianej łaski - bez dymu, nie spalając drewna. Łaska tkwiła w ludzkiej dłoni. Arha dostrzegła twarz tego człowieka... ciemna twarz... twarz mężczyzny.

Nie poruszyła się.

Człowiek bardzo długo spacerował tam i z powrotem, jak gdyby czegoś szukał. Zglądał za koronkowe katarakty kamieni, przyglądał się wylotom kilku korytarzy. Nie wchodził w nie jednak. A Kapłanka Grobowców nadal stała bez ruchu w ciemnym kacie tunelu. Czekala.

Najtrudniej było uswiadomić sobie, że patrzy na obcego. Bardzo rzadko widywała obcych. Zdawało jej się, że to jeden z dozorców... nie, któryś z mężczyzn zza muru, pastuch czy strażnik, niewolnik Miejsca. I że przyszedł odkryć tajemnice Bezimiennych, może okraszczać Grobowce...

Okraszczać coś. Obrabować Moc Ciemności. Świątokradztwo - słowo to z wolna pojawiło się w myślach Arhy. Był mężczyzną, a żaden mężczyzna nie mógł dotykać ziemi Świętego Miejsca. A jednak ten

wszedł tutaj, do groty będącej sercem Grobowców. Wkroczył do wnętrza. Zapalił światło tam, gdzie było zakazane, gdzie nie istniało od początku świata. Dlaczego Bezimienni go nie porazili?

Stał teraz i patrzył na nierówne, kamieniste podłoże. Widac było wyraźnie, że kopano tutaj, a dół zasypiano na powrót. Nie udeptano wszystkich grud ziemi, wydobytych na wierzch przy kopaniu grobów.

Władcy pozarli tamtych trzech. Dlaczego nie pozerają tego? Na co czekają?

Na rece, by działały... Na język, by przemówił...

- Idź! Odejdź! Przepadnij! - krzyknęła nagle jak mogła najgłośniej.

Echa zahuczały przenikliwie i zdawało się jej, że drzenie zamazuje rysy tej smagłej twarzy, zwróconej z zaskoczeniem w jej stronę. Przez jedną chwilę intruz spoglądał poprzeczony dzwiekiem wspaniałości groty... i zobaczył ją. Wtedy zgasło światło. Zniknęło oszalamiające piękno. Pozostała jedynie ciemność. I cisza.

Znów potrafiła myśleć. Złamała czar blasku.

Musiał tu wejść przez drzwi w czerwonej skale, Bramie Więźniów, i pewnie tamteży spróbuje uciekać. Szybka i cicha, jak miekkoskrzydła sowa przebiegła połowę obwodu groty do tunelu, prowadzącego do tamtych wrót, otwierających się tylko z zewnątrz. Nie czuła żadnego powiewu, więc nie zostawiła bramy otwartej. Zamknęła się za nim i teraz, jeśli tylko wszedł do tunelu, znalazł się w pułapce.

Ale nie wszedł. Była tego pewna. Tak blisko, w tak ciasnym korytarzu, słyszałaby jego oddech, czuła ciepło, puls jego życia. Nie było nikogo. Stała wyprostowana i nasłuchiwała. Gdzie poszedł?

Ciemność napierała na oczy jak bandaż. Widok Podgrobia wytracił ją z równowagi, nie potrafiła skupić myśli. Znała te groty wyłącznie jako obszar określany słuchem, dotykiem palców, powiewem chłodnego powietrza w mroku, jako przestrzeń, tajemnicę nie przeznaczoną do oglądania. Zobaczyła ją i sekret ustąpił miejsca nie grozie, ale pięknu, tajemnicy głębszej jeszcze niż ciemność.

Wolno, niepewnie ruszyła przed siebie. Dotykając ściany poszła w lewo, do drugiego korytarza, który prowadził do Labiryntu. Tu zatrzymała się nasłuchując.

Uszy mówiły jej niewiele więcej niż oczy. Lecz kiedy tak stała, dotykając rekoma obu ścian kamiennego łuku, wyczuła słabą, delikatną wibrację skały, a w chłodnym, zastalym powietrzu ślad zapachu, który nie należał do tego miejsca: won dzikiej szalwi, rosnącej na pagórkach pustyni, nad głową, pod otwartym niebem.

Powoli i w ciszy przesuwała się wzdłuż tunelu, podając za wechem.

Przeszła może sto kroków, gdy go usłyszała. Był niemal równie cichy jak ona, lecz nie poruszał się w ciemności tak pewnie. Dobiegło do niej ledwie słyszalne szurnięcie, jak gdyby potknął się na nierównej powierzchni i natychmiast odzyskał równowagę. Nic więcej. Odczekała chwilę, nim ruszyła dalej, powoli, muskając ściany palcami prawej dłoni. W końcu wyczuła pod nimi okrągły metalowy pret. Zatrzymała się, przesunęła rękę do góry i wysoko, prawie na granicy możliwości, dotknęła wystającej żelaznej dzwigni. Wtedy chwyciła ją i pociągnęła z całej siły.

Rozległ się przerazliwy zgrzyt i huk, strzelił deszcz błękitnych iskier. Za jej plecami w korytarzu powoli i

opornie cichły echa. Wyciągnęła ręce i o kilka cali przed twarzą natrafiła na powgniataną powierzchnię żelaznych wrót.

Odetchnęła wolno.

Potem wróciła tunelem do Podgrobia i idąc tak, by ściana znajdowała się po jej prawej ręce, dotarła do klapy w Sali Tronu. Nie spieszyła się i zachowywała ciszę, choć nie było to już potrzebne. Schwyciła swego złodzieja. Wrota, przez które przeszedł, były jedynym wejściem i wyjściem z Labiryntu. I dawały się otworzyć tylko z zewnątrz.

Został teraz uwięziony w ciemności podziemi, by nigdy już nie wrócić na powierzchnię.

Powoli i statecznie przeszła obok Tronu do długiej, ozdobionej kolumnami sali. W miejscu, gdzie na brązowym trójnogu stała pojedyncza waza wypełniona po brzegi czerwonym żarem węgla drzewnego, zawróciła i zbliżyła się do siedmiu prowadzących do Tronu stopni.

Przykleknęła na najniższym z nich i pochyliła czoło dotykając zimnego, zakurzonego glazu, zasypanego kłosem myszy, zrzuconych tu przez zerujące sowy.

- Wybaczcie mi, że widziałam zmacony spokój Waszego mroku - szepnęła, nie wypowiadając tych słów na głos. - Wybaczcie, że widziałam Wasze groby pogwałcone. Będziecie pomszczeni. Władcy moi, śmierć wyda go w Wasze ręce, by nigdy się nie odrodził.

Lecz nawet w chwili modlitwy widziała oczyma duszy migotliwy blask rozjaśnionej groty, życie w miejscu należnym tylko śmierci. I zamiast odczuwać lęk przed świętokradztwem i wściekłość na złodzieja, myślała tylko, jak niezwykle było to wszystko, jakie dziwne...

- Co powinnam powiedzieć Kossil? - pytała sama siebie, gdy wyszła już z Sali i otuliła się płaszczem, a zimowy wicher uderzył w nią z całą siłą. - Nic. Jeszcze nie. To ja jestem panią Labiryntu. Bóg-Król nie ma tu nic do powiedzenia. Powiem jej może, gdy złodziej będzie już martwy. Jak mam go zabić? Powinnam sprowadzić Kossil, by patrzyła, jak umiera. Ona lubi śmierć. Czego mógł tu szukać? Na pewno jest szalony. Jak się tam dostał? Tylko Kossil i ja mamy klucze do wrót w czerwonej skale i do klapy. Musiał przejść przez czerwoną skale. Tylko czarownik mógłby otworzyć te drzwi. Czarownik...

Stała nagle, choć wiatr niemal ją przewrócił.

- On jest czarownikiem, magiem z Wewnętrznych Krain! Szuka amuletu Erreth-Akbe!

Ta myśl była równocześnie odrazająca i wspaniała, aż Arha poczuła, że wśród lodowatego wicheru ogarnia ją ciepło. Zasmiała się głośno. Miejsce i otaczająca ją pustynia okrywała czernią i ciszą, zakłócaną tylko wyciem wicheru. Żadne światło nie świeciło w Wielkim Domu. Dookoła fruwały niesione wicherem drobne, niewidoczne płatki śniegu.

- Jeśli czarami otworzył wrota w czerwonej skale, to może otworzyć inne. Może uciec.

Ta myśl wzbudziła w niej nagły dreszcz, lecz na chwilę tylko. Nie wierzyła w tę możliwość. Bezimienni pozwolili mu wejść. Dlaczego nie? Nie mógł wyrządzić szkody. Jak może zaszkodzić złodziej, który nie zdola opuścić miejsca kradzieży? Na pewno wspomagają go zaklęcia i złe moce, bez wątpienia potężne, skoro dotarł tak daleko, ale dalej już mu się nie uda. Żaden czar rzucony przez śmiertelnika nie może być silniejszy od woli Bezimiennych, obecnych w Grobowcach... Woli Królów, których Tron stoi pusty.

Przyspieszyła kroku, by się o tym upewnić. Tuż za drzwiami Małego Domu spał Manan, owinięty w płaszcz i wyleniałe futro będące jego zimowym lożem. Weszła cicho, by go nie obudzić. Nie zapalała lampy. Otworzyła zamknięte na zamek drzwi do małego pokoiku, zwykłej komórki na końcu korytarza. Tam skrzesła iskry uderzając o krzemień tak, by znaleźć pewien punkt na podłodze. Potem uklękła i podważyla jeden kafelek. Pod nim leżał skrawek grubego, brudnego materiału. Odsunęła go na bok. I cofnęła się zaskoczona, gdyż z dołu wystrzelił jej prosto w twarz promień światła.

Po chwili bardzo ostrożnie zajrzała do otworu. Zapomniała, że na końcu swej łaski złodziej niósł magiczne światło. Sądziła, że w najlepszym razie usłyszy go tylko w ciemności. Zapomniała o świetle. Ale złodziej był tam, gdzie się go spodziewała: dokładnie pod wizjerem, przy żelaznych wrotach blokujących mu drogę ucieczki z Labiryntu.

Stał tam z ręką wspartą na biodrze. W drugiej trzymał wysoko jak on sam łaskę, do czubka której przyglnął delikatny błędną ogień. Głowa, która oglądała z wysokości sześciu stóp, pochylał lekko w bok. Ubrany był jak każdy wędrujący lub pielgrzymujący podczas zimy: krótki, ciężki płaszcz, skórzana tunika, wełniane spodnie i sznurowane sandały. Na plecach niósł lekki pakunek z przyczepioną manierką, za pasem nóż. Stał nieruchomy jak posąg, rozluźniony i zamysłony.

Po chwili oderwał łaskę od ziemi i wysunął jej płonący koniec przed siebie, w stronę wrót, których przez wąski otwór Arha nie mogła zobaczyć. Lśnienie zmieniło się, stało bardziej skoncentrowane i jaskrawe, wreszcie rozbłysło intensywnym blaskiem. Złodziej przemówił. Arha nie знаła języka, którego użył, lecz bardziej od słów zdziwił ją głos: głęboki i dzwiczny.

Światło łaski pojaśniało, zamigotało, przygasło. Na chwilę zapadła ciemność.

Potem błędną fioletowy ogień zapłonął znowu i zobaczyła, jak złodziej odwraca się od drzwi. Jego czar otwierania zawiódł. Moc, która tkwiła w zamku tych wrót, była silniejsza od jego magii.

Rozejrzał się wokół siebie jakby myślał: co teraz?

Tunel czy korytarz, w którym się znalazł, miał jakieś pięć stóp szerokości. Sklepienie wznosiło się od dwunastu do piętnastu stóp powyżej nierównego skalnego podłoża. Ściany zbudowano z kamieni nie spojonych zaprawą, lecz tak ściśle dopasowanych, że z trudem dalo się wcisnąć między nie czubek noża. Te ściany pochylały się ku sobie, tworząc łuk.

Nie było tu nic więcej.

Ruszył przed siebie. Jeden krok wystarczył, by Arha straciła go z oczu. Światło zgasło. Już miała umieścić na miejscu skrawek tkaniny i kafelek, gdy raz jeszcze z otworu błysnął świetlny promień. Złodziej wracał do wrót. Pewnie zdał sobie sprawę, że gdy je opuści i wkroczy w labirynt korytarzy, nie zdoła ich już odnaleźć.

Cichym głosem wymówił tylko jedno słowo.

-*Emmen* - powiedział, a potem jeszcze raz, głośniejszym głosem. -*Emmen* !

Żelazne wrota zadygotały na zawiasach, a niskie echo dudniło w tunelu jak grom. Arha miała wrażenie, że zadrzała podłoga.

Ale drzwi pozostały zamknięte.

Wtedy rozesmiał się krótko, jak człowiek, który myśli: „Ależ durnia z siebie zrobiłem!” Raz jeszcze przyjrzał się ścianom, a kiedy podniósł głowę, Arha dostrzegła uśmiech na jego smagłej twarzy. Potem usiadł, zdjął worek z pleców, wyjął kawałek suchego chleba i zaczął jeść. Odkorkował skórzana manierkę, potrząsnął nią. Wydawała się lekka, jakby prawie pusta. Zatkaną ją, nie pijąc. Wsadził worek pod głowę jak poduszkę, otulił się płaszczem i położył. Wciąż trzymał łaskę w prawej dłoni. Kiedy leżał, mały ogień czy kulka światła spłynęła z łaski i zawisła za jego głową, parę stóp nad ziemią. Lewą dłoń położył na piersi, zaciskając w palcach coś, co zwisało mu z szyi na grubym lancuchu. Leżał tam całkiem wygodnie, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Przewedrował spojrzeniem po stropie, koło otworu. Westchnął i zamknął oczy. Światelko przygasło powoli. Zasnął.

Zacisnięte palce lewej dłoni rozprostowały się i ręka zsunęła z piersi na ziemię. Wtedy Arha zobaczyła, jaki amulet nosi na lancuchu: kawałek metalu w kształcie półkieszycy. Tak jej się wydawało.

Delikatny blask jego magii zniknął. Obcy leżał w ciszy i mroku.

Arha umieściła na miejscu materiał i kafelek, po czym cichutko przesliznęła się do swojego pokoju. Długo nie mogła zasnąć w ciemności pełnej wycia wichury. Wciąż widziała przed sobą kryształową jasność błyszczącą w domu śmierci, delikatny chłodny płomyk, kamienne ściany tunelu i spokojną twarz śpiącego mężczyzny.

Rozdział szósty

Pułapka

Następnego dnia, gdy tylko wykonała swoje obowiązki w różnych świątyniach i skończyła lekcje świętych tańców dla nowicjuszek, przemknęła do Małego Domu i zaciemniwszy pokój odsłoniła otwór w podłodze. Zajrzała. Na dole nie było światła. Złodziej odszedł. Nie wierzyła, by został tak długo pod opornymi drzwiami, ale było to jedyne miejsce, w którym mogła go szukać. Jak go teraz znajdzie, gdy zniknął?

Tunele Labiryntu, według szacunków Thar i jej własnych doświadczeń, ciągnęły się ponad dwadzieścia mil: pełne zakrętów, rozgalezień, spiral i ślepych zaułków. Długi, ślepy korytarz, leżący najdalej od Grobowców, oddalony był od nich może o milę w linii prostej. Ale pod ziemią nic nie biegło prosto. Wszystkie tunele dzieliły się, łączyły, rozwidlały, krzyżowały, zataczały kregi, przebiegały po skomplikowanych krzywych, by wrócić do punktu, gdzie się zaczęły. Można było iść, iść i iść, nigdzie nie dochodząc, ponieważ nie było gdzie dojść. Nie istniało centrum, serce Labiryntu.

A po zamknięciu wrót nie istniał też koniec. Żaden kierunek nie był prawidłowy.

Arha pamiętała dobrze wszystkie drogi i trasy do różnych komnat, ale nawet ona zabierała na swe wyprawy klebek cienkiej włóczki. Rozwijala go za sobą i zwijała wracając. Wystarczyło bowiem, by przeoczyła choć jeden zakręt, który miała policzyć, a ona także mogłaby zgubić drogę. Światło nie

pomagalo, poniewaz nie bylo zadnych znakow orientacyjnych. Wszystkie korytarze, przejścia i wyloty byly do siebie podobne.

Zlodziej mógł wedrowac cale mile, a mimo to nie oddalil sie wiecej niz czterdziestu stóp od wrót, przez które tu wszedl.

Pobiegla do Sali Tronu, do swiatyni Blizniaczych Bóstw i do kuchennej piwnicy. Gdy tylko zostawala sama, zagladala przez wizjery w chlodna, gesta ciemnosc. Kiedy nadeszla lodowata, lsniaca gwiazdami noc, odwiedzala pewne miejsca na wzgórze, podnosila niektóre kamienie, zmiotala ziemie i zagladala znowu w bezgwiazdna ciemnosc podziemi.

Byl tam. Musial byc. A jednak jej uciekl. Umrze z pragnienia, zanim go odnajdzie. Gdy tylko zyska pewnosc, ze nie zyje, bedzie musiala poslac do Labiryntu Manana, by go odszukal. Nie mogla zniesc tej myśli. Kleczala w swietle gwiazd na twardym zboczcu wzgórze i czula pod powiekami lzy bezsilnej zlosci.

Wrócila do sciezki biegnacej w dól zbocza do Swiatyni Boga-Króla. W blasku gwiazd rzezbione kolumny lsnily biela szronu niczym filary z kosci. Zastukala do tylnych drzwi i Kossil wpuscila ja do srodka.

- Co sprowadza moja pania? - spytala zimno i nieufnie.

- Kaplanko, w Labiryntie jest mezczyzna.

Te slowa zaskoczily Kossil zupełnie. Choc raz zdarzylo sie cos, czego nie oczekiwala. Stala bez ruchu, wytrzeszczajac oczy. Arha pomyslala, ze wyglada calkiem jak Penthe udajaca Kossil i poczula, ze wzbiera w niej histeryczny smiech. Stlumila go z wysilkim.

- Mezczyzna? W Labiryntie?

- Mezczyzna. Obcy. - A kiedy Kossil nadal wpatrywala sie w nia z niedowierzaniem, dodala: - Potrafie rozpoznać mezczyzne, choc nie widzialam ich wielu.

Kossil nie zwrócila uwagi na ironie.

- Jak on sie tam dostal?

- Sadze, ze z pomoca czarów. Ma ciemna skóre. Moze pochodzic z Wewnetrznych Krain. Przybyl, by okrasc Grobowce. Spotkalam go w Podgrobium, pod samymi Kamieniami. Kiedy mnie zauwazyl, uciekl do Labiryntu... Zupelnie jakby znal droge. Zamknelam za nim zelazne wrota. Rzucal zaklecia, ale nie zdolal ich otworzyc. Rankiem wszedl w glab Labiryntu. Nie moge go znalezc.

- Czy mial swiatlo?

- Tak.

- Wode?

- Mala manierke, niepelną.

- Swieca na pewno już mu się wypaliła - zastanawiała się Kossil. - Jeszcze cztery, pięć dni. Może szesc. Potem możesz posłać moje sługi. Wyciągnąć ciało. Trzeba wylać jego krew przed Tronem, a jego...

- Nie. - Arha przerwała jej z nieoczekiwana stanowczoscia. - Chce go odszukac zywego.

Kaplanka spojrzala na nia z wysokosci swego wzrostu.

- Dlaczego?

- Zeby... zeby umieral dluzej. Popelnil swietokradztwo wobec Bezimiennych. Swiatlem skalal Podgrobie. Przybyl, by skracac Grobowcom ich skarby. Samotna smierc w tunelu to zbyt malo.

- Tak... - Kossil zastanowila sie. - Ale jak go schwytasz, pani? To ryzykowne. A w moim planie nie ma ryzyka. Czy nie trafilas w Labiryncie na komnate pelna kosci... kosci ludzi, którzy tam weszli i nigdy już nie wyszli? Niech Bóstwa Ciemnosci ukarza go po swojemu, na swój sposób. Smierc z pragnienia jest okrutna.

- Wiem - odparla dziewczyna. Odwróciła się i wyszła w noc, naciągając na głowę kaptur dla ochrony przed swiszczącym, lodowatym wiatrem. Czyż nie wiedziała?

Przychodząc do Kossil postąpiła głupio i po dziecinnemu. Nie mogła liczyć na jej pomoc. Kossil sama nic nie wiedziała, знаła tylko zimne wyczekiwanie i w końcu śmierć. Nie rozumiała. Nie pojmowała, dlaczego trzeba koniecznie odszukać tego mężczyznę. On nie może skończyć jak tamci. Arha po raz drugi już tego nie wytrzyma. Skoro on musi zginąć, niech jego śmierć będzie szybka, w świetle dnia. Tak, to właściwe, by ten złodziej zginął od miecza. Jako pierwszy od wieków miał dość odwagi, by podjąć próbę obrabowania Grobowców. Przecież nie ma nawet duszy niesmiertelnej i już się nie odrodzi. Jego duch będzie przez wieki jęczał w korytarzach. Nie można pozwolić, by umarł z pragnienia, samotny, w mroku.

Tej nocy Arha prawie nie spała. Następnego dnia czekało ją wiele obowiązków, wiele ceremonii, w których musiała uczestniczyć. Noc spędziła wędrując od jednego otworu do drugiego we wszystkich ciemnych budowlach Miejsca i na smaganym wiatrem wzgórzu. Wróciła do Małego Domu i położyła się dwie, może trzy godziny przed świtem. Długo nie mogła zasnąć. Późnym popołudniem trzeciego dnia wyszła na pustynię i skierowała się ku niemal wyschniętej zimą rzece. W trzcinach trzeszczał lód. Przypomniła sobie, że kiedyś, jesienią, dotarła do bardzo dalekich tuneli, za Poszóstne Skrzyżowanie, i wzdłuż całej drogi długim, wygiętym w łuk korytarzem słyszała za ścianą płynącą wodę. Gdyby trafił tam człowiek cierpiący z pragnienia, czy nie pozostałby w tym miejscu? Tam także były wizjery, musiała tylko je odszukać. W zeszłym roku Thar pokazała jej wszystkie, więc nie miała większych problemów. Pamiętała ich położenie jak ślepiec: wyczuwała raczej drogę do kolejnych ukrytych otworów, niż rozglądała się za nimi. W drugim z kolei, gdy naciągnęła kaptur, by zasłonić światło, i przysunęła oko do dziury wywierconej w płaskim kamieniu, dostrzegła słabe migotanie magicznego ognika.

Złodziej tam był, częściowo tylko widoczny. Wizjer ukazywał sam koniec ślepego tunelu. Widziała plecy obcego, zgięty kark i prawe ramię. Siedział w rogu i dłużył między kamieniami swym nożem, krótkim stalowym sztyletem z wysadzana klejnotami rekojescia. Ostrze pekło, odłamany koniec leżał wprost pod wizjerem. Skruszył je, gdy próbował podważyć kamienie ścian tunelu, by dostać się do wody, której plusk słyszał cicho, lecz wyraźnie w martwej ciszy podziemia, po drugiej stronie niedostępnego muru.

Poruszał się apatycznie. Po trzech nocach i dniach był całkiem inny niż tamten człowiek, który stał spokojnie u żelaznych wrót i śmiał się z własnej porażki. Jego upór nie zniknął, lecz utracił moc. Nie umiał rzucić zaklecia, by rozsunało te kamienie. Musiał używać złamanego noża. Nawet magiczny płomyk

był słaby i przycmiony. Zamigotał nagle, a mężczyzna drgnął i upuścił sztylet. Po chwili jednak zmęczonym ruchem podniósł go i dalej próbował wcisnąć między glazy pęknięte ostrze.

Leżąc między skutymi lodem trzciniami na brzegu, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, gdzie jest i co robi, Arha przycisnęła usta do zimnej skały i osłoniła je dłońmi.

- Magu! - zawołała. Jej głos spłynął przez kamienny lejek i chłodnym szeptem odbił się w podziemnym tunelu.

Mezycyżna drgnął i zerwał się na nogi, opuszczając przy tym jej pole widzenia, bo nie zobaczyła go, kiedy spojrziała znów. Raz jeszcze przysunęła wargi do otworu.

- Wróć tunelem wzdłuż rzeki do drugiego zakretu - powiedziała. - Najpierw skreć w lewo. Omin dwa z prawej, wejdź w trzeci. Omin jeden z prawej, wejdź w drugi. Potem w lewo, potem w prawo. Dojdiesz do Malowanej Komnaty. Zostan tam.

Odsuwając się musiała wpuścić do tunelu promień światła, gdyż zobaczyła złodzieja pod sobą. Podniósł głowę i patrzył prosto w otwór. Wyraźnie widziała jego twarz, poznaczona bliznami, podniecona i pełna napięcia. Wargi miał czarne i spekane, oczy błyszczały jasno. Cofnęła się przestraszona, przykryła wizjer kamieniem i zasypała ziemią. Szybkim krokiem wróciła do Miejsca. Rece jej drżały, czuła zawroty głowy. Nie wiedziała, co powinna zrobić.

Jeśli posłucha wskazówek, jakich mu udzieliła, ruszy w stronę żelaznych wrót i dojdzie do komory z obrazami. Nic tam nie znajdzie, nie było powodu, by go tam kierować. W sklepieniu Malowanej Komnaty był wizjer, wygodny, w skarbcu Świątyni Blizniaczych Bóstw, może właśnie dlatego przyszła jej do głowy ta grota. Nie wiedziała. Dlaczego w ogóle się do niego odezwała?

Może spuścić przez któryś wizjer trochę wody, a potem go tam przywołać. To pozwoli mu przeżyć trochę dłużej. Tak długo, jak będzie miała ochotę - gdyby od czasu do czasu podrzucała mu wodę i trochę jedzenia, mówiąc przy tym, gdzie może je znaleźć. Czasem informowałaby go fałszywie, by chodził na próżno. Zawsze jednak musiałby iść. To by go nauczyło, że nie wolno kpić z Bezimiennych, pyszczyć swoją głupią meskoscia w miejscach spoczynku Niesmiertelnych Martwych!

Tyle że póki on tam jest, sama nie będzie mogła wejść do Labiryntu. Dlaczego nie? - zapytała sama siebie i odpowiedziała: Ponieważ mógłby uciec przez żelazne wrota, które musiałabym zostawić za sobą otwarte... Jednak mógłby uciec najwyżej do Podgrobia. Rzecz w tym, że bała się stanąć z nim twarzą w twarz. Lekąca się jego mocy, sztuki, której użył, by wejść w podziemia, magii płonącej na koncu łaski. Czy jednak było się czego obawiać? Władające ciemnością Potęgi stały po jej stronie. W dziedzinie Bezimiennych on wyraźnie nie potrafił zbyt wiele. Nie otworzył żelaznych wrót, nie sprowadził magicznego pozywienia ani nie ściągnął przez ściany wody, nie przywołał też żadnego straszliwego demona, który zburzyłby mury, choć bała się, że jest do tego zdolny. Po trzech dniach błądzenia nie znalazł nawet drogi do Wielkiego Skarbcza, a przecież z pewnością jej szukał. Sama Arha nigdy jeszcze nie skorzystała ze wskazówek Thar, opisujących drogę do tej komnaty. Wciąż odkładała wyprawę, powodowana lekkiem, niewyjaśnionym oporem, świadomością, że czas jeszcze nie nadszedł.

Właściwie, pomyślała, czemu nie pozwolić, by pokonał te drogi zamiast niej? Niech do woli ogląda skarby Grobowców. Duzo mu z tego przyjdzie! A ona będzie kpić z niego, doradzać, by jadł złoto i pil diamenty. Z nerwowym, gorączkowym pospiechem, który dreczył ją od trzech dni, pobiegła do świątyni Blizniaczych Bóstw. Otworzyła drzwi do niewielkiego skarbcza i odsłoniła dobrze ukryty otwór w podłodze.

Malowana Komnata leżała pod nią w absolutnej ciemności. Mężczyzna szedł określoną drogą, dłuższą może o całe mile... Zapomniała o tym. W dodatku był osłabiony i posuwał się wolno. Może źle zapamiętał jej wskazówki i skręcił w złą stronę. A może nawet nie znał jej języka. Jeśli tak, to niech błędzi, dopóki nie padnie, ten dupek, cudzoziemiec, niedowiarek. Niech jego duch jęczy na kamiennych drogach Grobowców Atuanu, póki ciemność nie pozre i jego...

Następnego ranka, bardzo wczesnie, po krótkim śnie pełnym koszmarów, Arha wróciła do wizjera w niewielkiej świątyni. Spojrzała w dół i nie zobaczyła niczego. Tylko czern. Na lancuchu opuściła świecę w małej blaszanej latarence. Złodziej był tam, w Malowanej Komnacie. W blasku świecy zobaczyła jego nogi i zwisająca bezwładnie rękę. Zawołała do otworu, tutaj dużego, wielkości kafelka mozaiki:

- Magu!

Nie ruszał się. Czyżby nie żył? Czy tylko tyle było w nim mocy? Prychnęła pogardliwie, lecz serce biło jej mocno.

- Magu! - krzyknęła, a jej głos dudnił w pustej, podziemnej komorze. Drgnął, usiadł powoli i w oszłomieniu rozejrział się dookoła. Po chwili podniósł głowę, mrugając w świetle zwisającej ze stropu małej latarni. Jego twarz wyglądała okropnie, napuchnięta i ciemna jak twarz mumii.

Dotknął dłoni leżącej przy nim łaski, lecz drewno nie rozkwitło płomieniem. Moc obcego była wyczerpana.

- Chcesz zobaczyć skarby Grobowców Atuanu, magu? Spojrzal w górę, mrużąc oczy przed blaskiem świecy. Tylko te świece widział. Po chwili, z grymasem, który mógł być uśmiechem, kiwnął głową.

- Wyjdź z tej komnaty i idź w lewo. Wejdź w pierwszy korytarz po lewej... - Bez zatrzymania wyrecytowała długą serię instrukcji. Na końcu dodała: - Tam odnajdziesz skarb, po który tu przybyłeś. I tam, być może, znajdziesz wodę. Co byś wybrał, magu?

Wstał, opierając się na łasce. Spojrzal w górę i choć nie mógł jej zobaczyć, wyraźnie próbował coś powiedzieć. Jednak wyschnięta krtan nie potrafiła wydać głosu. Wzruszył więc ramionami i wyszedł z Malowanej Komnaty.

Postanowiła nie dawać mu wody. Zresztą i tak nigdy nie znajdzie drogi do skarbcza. Ciąg instrukcji był zbyt długi, by zdołał go zapamiętać. Była też Otchłan, gdyby dotarł tak daleko. Nie miał już światła. Na pewno zgubi drogę, a w końcu przewróci się i umrze gdzieś w wąskich, pustych, suchych korytarzach. I to będzie koniec. Arha z całej siły chwyciła oburącz pokrywę wizjera, a jej skulone ciało kołysało się tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zagryzała wargi, jak gdyby walczyła z potwornym bólem. Nie da mu wody. Nie da mu wody. Da mu tylko śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

W tej mrocznej godzinie przyszła do niej Kossil. Ciężko wkroczyła do małego skarbczyka: tego w czarnej, zimowej szacie.

- Czy mężczyzna już zmarł?

Arha podniosła głowę. W jej oczach nie było łez, nie miała czego ukrywać.

- Chyba tak - odparła wstając.

Otrzepała spódnice.

- Może udawac. Ci bezduszni bywają sprytni.

- Poczekam jeszcze dzień, dla pewności.

- Tak, albo nawet dwa dni. Potem DUBY może zejść na dół i go wyciągnąć. Jest silniejszy niż stary Manan.

- Ale Manan jest w służbie Bezimiennych, a DUBY nie. Są w Labiryncie miejsca, gdzie DUBY nie powinien chodzić. Złodziej znajduje się w jednym z nich.

- Skoro już zostało skalane...

- Jego śmierć jest oczyszczeniem - oznajmiła Arha. Mina Kossil świadczyła wyraźnie, że jej własna twarz zdradza coś niezwyklego. - To moja dziedzina, kapłanko. Muszę jej pilnować tak, jak nakazują mi moi Władcy. Nie musisz już uczyć mnie śmierci.

Twą Kossil wsunęła się w kaptur niby pustynny zółw do skorupy: powolny, zimny i wrogi.

- Jak chcesz, pani.

Rozstały się przed ołtarzem Boskich Braci. Już bez pośpiechu Arha odeszła do Małego Domu. Przywołała Manana, by jej towarzyszył. Od rozmowy z Kossil wiedziała, co musi uczynić.

Wraz z Mananem weszli na wzgórze, do Sali, i dalej w dół, do Podgrobia. Razem napierając na długą dzwignię otworzyli żelazne wrota Labiryntu. Zapalili latarnie i wkroczyli do jego wnętrza. Arha poprowadziła eunucha do Malowanej Komnaty i stąd ruszyła w stronę Wielkiego Skarbcza.

Złodziej nie dotarł daleko. Nie przeszli nawet pięciuset kroków, gdy na niego trafili. Leżał w wąskim tunelu jak stos bezładnie rzuconych szmat. Zanim upadł, zgubił swoją łaskę - leżała w pewnej odległości od niego. Wargi miał pokrwawione, oczy przymknięte.

- Żyje... - Manan przykleknął przy obcym. Świą wielka, żółta dłoń przyłożył mu do szyi, szukając pulsu.
- Mam go udusić, panienko?

- Nie. Potrzebny mi jest żywy. Podnies go i chodź za mną.

- Żywy? - zdumiał się Manan. - Po co, panienko?

- By został niewolnikiem Grobowców! Nie gadaj, tylko rób, co ci kaze.

Twą Manana stała się jeszcze bardziej melancholijna niż zwykle. Posłuchał jednak, bez wysiłku podciągnął młodego człowieka i niczym długi pakunek zarzucił sobie na ramię. Tak obciążony, niepewnym krokiem ruszył za Arhą. W drodze powrotnej zatrzymywali się z dziesięć razy, by eunuch chwilę odpoczął. Korytarz zawsze wyglądał tak samo: szarozółte, dopasowane do siebie kamienie ścian połączonych w górze lukowym sklepieniem, nierówne podłogi, stęchłe powietrze, Manan stękał i oddychał z trudem, obcy leżał nieruchomo, dwie latarnie rzucały krąg metnego światła, niknącego w mroku po obu stronach. Na każdym postoju Arha wlewała w usta mężczyzny kilka kropli wody z manierki, którą wzięła ze sobą - po trochu, by nie zabiło go gwałtownie powracające życie.

- Do Komnaty Lancuchów? - spytał Manan, gdy szli korytarzem prowadzącym do żelaznych wrót.

Wtedy po raz pierwszy Arha zastanowiła się, gdzie powinna umieścić jęca. Nie miała pomysłu.

- Nie, tam nie - odparła, czując mdłości na samo wspomnienie dymu, smrodu, splatanych włosów, milczących ust i niewidzących oczu. Poza tym do Komnaty Lancuchów mogła trafić Kossil. - On... On musi zostać w Labiryncie, by nie odzyskał swej magicznej mocy. Gdzie jest takie pomieszczenie...

- W Malowanej Komnacie są drzwi, zamek i wizjer, panienko. O ile drzwi go powstrzymają.

- W Labiryncie nie ma żadnej mocy. Zabierz go tam. Manan ruszył z powrotem, zbyt zmęczony i zdyszany, by protestować. Gdy wreszcie dotarli do Malowanej Komnaty, Arha rzuciła na ziemię swój długi, ciężki, wełniany zimowy płaszcz.

- Połóż go na tym - poleciała.

Manan patrzył na nią z konsternacją. Pociągnął nosem.

- Panienko...

- Chce, żeby ten człowiek żył, Manan. Umrze z zimna. Spójrz, jak się trzęsie.

- Ale twój strój zostanie skalany. Strój Kapłanki. To przecież niewierny. I mężczyzna - wyrzucił z siebie Manan, mrugając małymi oczkami, jakby coś go bolało.

- No więc spale ten płaszcz i utkam sobie drugi! No już, Manan!

Schylił się posłusznie i pozwolił, by mężczyzna zsunął mu się z pleców na czarna tkaninę. Obcy leżał nieruchomy jak śmierć, lecz jego puls bił wyraźnie, widoczny na tętnicach krtani. Od czasu do czasu dygotał spazmatycznie.

- Powinno się go przykuc - mruknął eunuch.

- Czy wygląda na groźnego? - Arha skrzywiła się pogardliwie. Lecz kiedy niewolnik pokazał jej wbita w ścianę żelazna kłamra, do której można było przykuc więźnia, pozwoliła mu przynieść kajdany z Komnaty Lancuchów. Poczłapał korytarzem, szeptem przypominając sobie drogę, chodził już do Malowanej Komnaty, lecz nigdy samotnie.

W świetle pojedynczej latarni rysunki na ścianach zdawały się poruszać i przesuwac - owe niezwykle ludzkie postacie ze zwisającymi skrzydłami, przykucnięte lub stojące, pograzone w ponadczasowym smutku.

Uklekła i po trochu wlewała wodę w usta więźnia. W końcu zakaszłał i drżącymi dłońmi chwycił butelkę. Pozwoliła mu pic do woli. Leżał potem z wilgotną twarzą, wysmarowana kurzem i krwią.

Powiedział coś, jakies słowo czy dwa, w języku, którego nie rozumiała.

Wreszcie wrócił Manan. Ciągnął długi żelazny łańcuch, wielką kłódkę z kluczem i żelazną obroż, którą zamocował więźniowi na wysokości pasa.

- Jest za luzna. Moze sie wysliznac - burczal zatraskujac klamre na koncu lancucha.

- Wcale nie. Popatrz. - Obcy nie przerazal jej juz tak bardzo, wiec zademonstrowala Mananowi, ze nie potrafi wsunac dloni pomiedzy zelazna obrecz a zebra wieznia. - Chyba zeby glodowal jeszcze ze cztery dni.

- Panienko - odezwal sie proszaco Manan. - Nie sprzeciwiam sie, ale... Jaki pozytek beda miec Bezimienni z takiego niewolnika? To mezczyzna, malenka.

- A ty jestes starym glupcem, Manan. Chodz, skoncz juz z tym narzekaniem.

Wiezien obserwowal ich lsniajacych, choc znudzonymi oczami.

- Gdzie jego laska, Manan? Tam. Zabiore ja. Sa w niej czary. O, jeszcze to, to tez zabiore. - Szybkim ruchem chwycila srebrny lancuch widoczny nad kolnierzem tuniki obcego.

Próbował chwycić ją za ramiona i powstrzymać, ale Manan kopnął go w plecy. Arha pomachała talizmanem nad głową, poza jego zasięgiem.

- To twój talizman, magu? Jest dla ciebie cenny? Nie wygląda imponująco. Nie stac cię na coś lepszego? Przechowam go dla ciebie.

Założyła lancuch na szyję, chowając wisiołek pod grubym kolnierzem swej wełnianej szaty.

- Nie wiesz, co z nim zrobić - odezwał się chrapliwie. Mówił po kargijsku z fatalnym akcentem, ale dość wyraźnie.

Manan kopnął go znowu. Wiezien syknął z bólu i przytknął oczy.

- Daj spokój, Manan. Idziemy.

I wyszła. Burcząc gniewnie, eunuch ruszył za nią.

Tej nocy, gdy pogasły wszystkie światła Miejsca, samotnie wspięła się na wzgórze. Napelniła manierkę ze studni w komnacie za Tronem, a potem zaniósła wodę i duży, płaski bochenek gryczanego chleba na dół, do Malowanej Komnaty w Labiryncie. Położyła je w zasięgu ręki wieznia, obok drzwi. Obcy spał i nawet się nie poruszył. Wróciła do Małego Domu i tej nocy ona także spała długo i głęboko.

Wczesnym popołudniem poszła sama do Labiryntu. Chleb zniknął, manierka była pusta, a obcy siedział oparty o ścianę. Jego brudna i podrapana twarz nadal wyglądała strasznie, lecz patrzył już przytomnie.

Stała pod przeciwną ścianą, gdzie skrepowany lancuchem nie mógł jej dosięgnąć. Przyjrzała mu się. Potem odwróciła wzrok. Coś nie pozwalało jej się odezwąć. Serce biło mocno, jakby się bała. Ale nie miała powodów do strachu. Obcy był na jej łasce.

- Milo jest znowu mieć światło - powiedział cichym, lecz dzwiecznym głosem, budząc zamęt w jej myślach.

- Jak ci na imię? - spytała groźnym tonem. Własny głos wydał jej się dziwnie cienki i piskliwy.

- No cóż, najczęściej nazywają mnie Krogulcem.

- Krogulcem? To twoje imię?

- Nie.

- Więc jak masz na imię?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Czy jesteś Jedyną Kapłanką Grobowców?

- Tak.

- A jak cie nazywają?

- Mówią na mnie: Arha.

- Ta, która została pozarta... To oznacza to słowo? - Jego ciemne oczy wpatrywały się w nią z uwagą. Uśmiechnął się lekko. - A jak masz na imię?

- Nie mam imienia. Nie zadawaj mi pytań. Skąd przybyłeś?

- Z Wewnętrznych Krain, z Zachodu.

- Z Havnoru?

To była jedyna znana jej nazwa miasta czy wyspy w Wewnętrznych Krainach.

- Tak, z Havnoru.

- Po co tu przyszedłeś?

- Grobowce Atuanu są sławne wśród mego ludu.

- Przecież jesteś niewiernym, niedowiarkiem.

Pokreślił głową.

- Ależ nie, Kapłanko. Wierze w moce ciemności! Spotkałem już nie nazwanych w innych miejscach.

- Jakich innych miejscach?

- W Archipelagu... w Wewnętrznych Krainach... są miejsca, które należą do Dawnych Potęg Ziemi. Jak to. Ale żadne z nich nie jest równie wielkie. Nigdzie też nie mają świątyni, kapłanki ani tylu wiernych co tutaj.

- Przybyłeś, by złożyć im hołd? - zapytała.

- Przybyłem, by je okrzęcić - odparł.

Spojrzała na jego twarz pełną powagi.

- Samochwal!

- Wiedziałem, że nie będzie to łatwe.

- Latwe! To niemożliwe. Wiedziałbys o tym, gdybys nie był niewiernym. Bezimienni dobrze pilnują tego, co do nich należy.

- To, czego szukam, nie należy do nich.

- Pewnie do ciebie?

- Mam prawo to odebrać.

- Kim niby jesteś? Bogiem? Królem? - Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów: przykutego do ściany, brudnego, wycienzonego. - Jesteś tylko złodziejem!

Milcząc spojrzał jej w oczy.

- Nie patrz na mnie! - krzyknęła nerwowo.

- O pani - powiedział. - Nie chciałem cię urazić. Jestem obcym, przybyszem. Nie znam waszych zwyczajów ani honorów należnych Kapłance Grobowców. Jestem w twojej mocy i proszę o wybaczenie, jeśli cię dotknąłem.

Stała w milczeniu czując, jak na policzki wypływa jej gorący, głupi rumieniec. On jednak nie patrzył na nią i nie widział tego. Posłusznie odwrócił swe posępne spojrzenie.

Przez chwilę żadne się nie odzywało. Ze wszystkich stron spoglądały na nich ślepymi oczami malowane postacie.

Przyniosła ze sobą kamienny dzban z wodą. Obcy co chwila spoglądał na niego ukradkiem, aż w końcu zezwoliła:

- Pij, jeśli masz ochotę.

Natychmiast chwycił dzban, podniósł go lekko niby kielich wina i pił długo. Potem zwilżył rękaw i najlepiej jak potrafił oczyścił twarz i ręce z brudu, zaschniętej krwi i pajęczyn. Dziewczyna przyglądała się temu w milczeniu. Kiedy skończył, wyglądał znacznie lepiej, lecz ta kocia kąpiel odsłoniła blizny na jego twarzy - stare, wygojone blizny, białawe na tle smagłej skóry: cztery równoległe szramy sięgające od oka aż do szczęki, jakby ślad pazurów wielkiej łapy.

- Od czego to? - spytała. - Te blizny?

Nie odpowiedział od razu.

- Smok? - Starła się, by jej głos zabrzmiał szyderczo. Czyż nie przyszła tu po to, by kpić ze swego wieźnia, dreczyć go i napawać się jego bezradnością?

- Nie, to nie smok.

- Więc nie jesteś panem smoków.

- To nie tak - odparł niechętnie. - Jestem panem smoków. Ale te bliźny pochodzą z wcześniejszych czasów. Mówiłem ci, że spotykałem się już z Mocami Ciemności... w innych miejscach. To, co widzisz na mojej twarzy, to znak pozostawiony przez krewniaka Bezimiennych. Lecz on sam nie jest już bezimienny, gdyż w końcu poznałem jego imię.

- Co masz na myśli? Jakie imię?

- Tego nie mogę ci powiedzieć - odparł i uśmiechnął się, choć jego twarz zachowała wyraz powagi.

- To nonsens, brednie, bluznierstwo! Oni są Bezimiennymi! Nie wiesz, o czym mówisz...

- Wiem lepiej od ciebie, Kaplanko - przerwał, a jego głos nabral głębi. - Przyjrzyj się! - Odwrócił głowę tak, że musiała patrzeć na cztery straszne ślady na jego policzku.

- Nie wierze ci - oświadczyła drżącym głosem.

- Kaplanko - odezwał się łagodnie. - Jesteś jeszcze młoda. Zapewne niedługo służyysz Mrocznym Bóstwom.

- Długo! Bardzo długo! Jestem Pierwszą Kapłanką Odrodzoną. Służę moim władcom od tysiąca lat, a przedtem jeszcze tysiąca. Jestem ich sługą, ich głosem i ich dłońmi. A także ich zemstą na tych, którzy bezczeszczą Grobowce i patrzą na to, co nie ma być widziane! Zostaw swoje kłamstwa i przechwałki. Czy nie pojmujesz, że wystarczy jedno moje słowo, by przyszli tu strażnicy i ścieli ci głowę z ramion? Mogę też stąd wyjść i zamknąć te drzwi. Wtedy nikt już tu nie przyjdzie, nigdy, a ty umrzesz w ciemności. Ci, którym służę, pozrą twoje ciało i duszę, pozostawiając tylko kości wśród kurzu.

W milczeniu pokiwał głową.

Urwała, a nie mając już nic do dodania wyszła i z hukiem zaryglowała za sobą drzwi. Niech myśli, że już nie wróci! Niech się zalewa zimnym potem, niech drży, przeklina i próbuje rzucić te swoje obrzydliwe, bezsensowne czary!

Lecz oczyma duszy widziała, jak on wyciąga się na ziemi do snu, tak jak to zrobił pod żelaznymi wrotami: pogodny niczym owca na łące w słoneczny dzień.

Splunęła na zamknięte drzwi, zrobiła dłońmi szybki gest chroniący przed nieczystością i niemal biegiem ruszyła w stronę Podgrobia.

A kiedy szła wzdłuż ścian, zmierzając do kłapy w Sali Tronu, przesuwając palce po powierzchniach i krawędziach skały niby po lodowej koronce, ogarnęło ją pragnienie, by zapalić latarnie i choć na chwilę zobaczyć znowu rzeźbione przez czas kamienie i cudowne migotanie ścian.

Mocno zacisnęła powieki i przyspieszyła kroku.

Wielki Skarbiec

Jeszcze nigdy codzienne obowiązki i ceremonie nie wydawały się tak liczne, tak nieważne i tak długie. Małe zaleknione dziewczynki o bladych twarzach, niespokojne nowicjuszki, spoglądające zimno i surowo kapłanki, których życie było gaszczem starannie ukrywanych zawisci, żalów, małych ambicji i zapomnianych namietności - wszystkie te kobiety, wśród których była i które były dla niej całym ludzkim światem, teraz wydawały się godne litości i nudne.

Lecz ona, która służyła Wielkim Potęgom, ona - kapłanka posepnej Nocy, wolna była od ich małostkowości. Nie musiała się przejmować ponurą jednostajnością codziennego życia, dni, których jedyną radością było dostać do soczewicy większy kawalek baraniny... Była wolna od dni jako takich. Pod ziemią dni nie istniały. Trwała tylko i zawsze noc.

A wśród tej nie mającej końca nocy - wiezien. Smagły mężczyzna, adept ciemnych sztuk, przykuty żelazem do kamienia, czekający, czy przyjdzie, czy nie, czy przyniesie mu wodę, chleb i życie, czy nóż, mise ofiarne i śmierć, co podpowie jej kaprys.

Nie mówiła o tym człowieku nikomu prócz Kossil, a Kossil nikomu nie powtórzyła. Od trzech dni już przebywał w Malowanej Komnacie, a ona wciąż o niego nie pytała. Może uznała, że nie żyje, a Arha i Manan przeniesli ciało do Komnaty Kosci. To niepodobne do Kossil, by przyjmować cokolwiek na wiarę, lecz Arha przekonywała sama siebie, że milczenie tamtej nie jest niczym niezwykłym. Chciała zachować wszystko w tajemnicy i nienawidziła zadawania pytań. A poza tym Arha zakazała jej mieszać się w nie swoje sprawy. Kossil była po prostu posłuszna.

Z drugiej strony, jeśli Kossil sądziła, że mężczyzna nie żyje, to Arha nie mogła prosić o żywność dla niego. Kradła więc jabłka i cebule z piwnicy Wielkiego Domu, a oprócz tego starała się obywać bez jedzenia. Poranne i wieczorne posiłki kazała sobie przynosić do Małego Domu pod pozorem, że chce jadać samotnie. Każdej nocy zanosila do Malowanej Komnaty w Labiryncie wszystko prócz zupy. Przyzwyczajona była do całodziennych, czasem nawet czterodniowych postów, więc nie dbała o to. Człowiek w Labiryncie pochłaniał jej skromne porcje chleba, sera i soczewicy tak, jak zaba polyka muche: trzask! i po wszystkim. Wyraźnie zjadłby chętnie piec albo sześć razy więcej. Zawsze jednak dziękował jej uprzejmie, jakby był gościem przy takim stole, jakie znała z opowieści o ucztach w pałacu Boga-Króla: zastawionym pieczonym miesem, masłem, chlebem i winem w kryształowych pucharach. Był bardzo dziwny.

- Jak tam jest w Wewnętrznych Krainach?

Zniosła do Labiryntu mały składany stołeczek z kości słoniowej, żeby wypytując go nie stać ani siedzieć na ziemi, na jego poziomie.

- Cóż, jest tam wiele wysp. Mówią, że cztery razy po czterdziestu w samym Archipelagu, a są jeszcze Rubieże. Żaden człowiek nie opłynął jeszcze wszystkich Rubieży ani nie policzył wszystkich skrawków ładu. A każda wyspa różni się od innych. Najpiękniejsza z nich jest chyba Havnor, wielki obszar ładu w środku świata. W sercu Havnoru, nad wielką zatoką pełną statków, leży Miasto Havnor. Wieże miasta są z białego marmuru. Dom każdego księcia i kupca ma wieżyczkę, tak że wyrastają jedna ponad drugą. Dachy domów kryje czerwona dachówka, a wszystkie mosty nad kanałami ozdobiono mozaikami: czerwonymi, niebieskimi i zielonymi. Wielobarwne proporce księząt powiewają ze szczytów białych

wiez. Zas na najwyzszej wiezy tkwi miecz Erreth-Akbego, niby iglica siegajacy ku niebu. Gdy slonce wschodzi nad Havnore, jego promienie odbijaja sie najpierw w klindze i ostrze lsni jasno. Gdy zachodzi, miecz jest zloty i wznosi sie jeszcze chwile ponad zmierzchem.

- Kim byl Erreth-Akbe? - zapytala przebiegle.

Spojrzal na nia z uwaga. Milczal, lecz usmiechnal sie lekko. Potem, jakby po namysle, powiedzial:

- To prawda, niewiele mozecie tu o nim wiedziec. Moze nic, prócz historii jego pobytu na Wyspach Kargadu. Jak opowiadano ci te historie?

- Ze stracil magiczna laske i amulet swej mocy, jak ty - odparla. - Uciekl przed Najwyzszym Kaplanem na zachód i smoki go zabily. Gdyby przyszedl tutaj, do Grobowców, smoki nie bylyby potrzebne.

- To prawda - przyznal wiezien.

Nie chciala dluzej rozmawiac o Erreth-Akbem. Czula, ze nie jest to bezpieczny temat.

- Mówia, ze byl panem smoków. Ty twierdzisz, ze tez nim jestes. Kto to jest pan smoków?

Zawsze mówila szyderczym tonem, a on odpowiadal prosto i szczerze, jakby przyjmowal jej pytania za dobra monete.

- Ktos, z kim smoki rozmawiaja - wyjasnil. - To wlasnie pan smoków, a przynajmniej to jest najwazniejsze. Nie chodzi o rozkazywanie smokom, jak sadzi wiekszosc ludzi. Smoki nie sluchaja nikogo. Wszystko ogranicza sie do jednego: czy smok bedzie z toba rozmawial, czy cie pozre? Jesli mozesz liczyć, ze zdecyduje sie na to pierwsze, wtedy jestes panem smoków.

- Smoki potrafia mówic?

- Oczywiscie! W Najstarszej Mowie, jezyku, którego my, ludzie, uczymy sie z takim trudem i uzywamy tak niewprawnie, by wypowiedac zaklecia magii i ksztaltowania. Nikt nie poznal tego jezyka nawet w dziesiatej jego czesci. Nie ma dosc czasu, by sie go na uczyc. Ale smoki zyja tysiace lat... Domyslasz sie chyba, ze warto z nimi porozmawiac.

- A czy sa jakies smoki w Atuanie?

- Od wielu wieków juz nie, ani na Karego-At. Ale na waszej północnej wyspie, Hur-at-Hur, podobno zyja jeszcze w górach wielkie smoki. W Wewnetrznych Krainach smoki zyja na zachodzie, w dalekiej Zachodniej Rubiezy, na wyspach, gdzie nie mieszka nikt z ludzi i niewielu tylko dociera. Kiedy sa glodne, ruszaja na wschód, ale to zdarza sie rzadko. Widzialem wyspe, gdzie przylatuja tanczyc. Kraza na swych wielkich skrzydlach, blizej i dalej od siebie, wciaz wyzej i wyzej ponad zachodnim morzem, niby wir zółtych lisci jesienia... - Jego oczy spogladaly poprzez ciemne rysunki na scianach, poprzez mury, skale i ciemnosc, na otwarte morze pod zachodzacy sloncem i zlate smoki w zlocistym wietrze.

- Klamiesz - oswiadczyła Arha z irytacja. - Wymyslasz sobie to wszystko.

Spojrzal na nia zaskoczony.

- Czemu mialbym to robic, Arho?

- Zebym sie czula prosta, glupia i przestraszona. Zebys wydawal mi sie madry, odwazny, silny, pan smoków i w ogóle. Widziales tanczace smoki i wieze Havnoru, i wiesz wszystko o wszystkim. A ja nic nie wiem i nigdzie nie bylam. Ale to, co mówisz, to kłamstwa! Jesteś nikim, tylko złodziejem i więziem, i nigdy nie opuścisz tego miejsca. Nie ma znaczenia, czy istnieją oceany, smoki, białe wieże i cała reszta, bo nigdy już ich nie zobaczysz, nigdy nie ujrzysz słońca. Ja znam tylko ciemność, noc pod ziemią. Ale to wszystko, co tak naprawdę istnieje, co w końcu się liczy. Cisza i mrok. Ty znasz wszystko, magu. A ja tylko jedno, ale najważniejsze.

Pochylił głowę. Wąskie, miedzianobrazowe dłonie spoczywały bez ruchu na kolanach. Widziała poczwórna bliźnię na jego policzku. Dalej niż ona dotarł przez ciemność, lepiej od niej poznał śmierć. Nawet śmierć... Fala nienawiści ogarnęła ją nagle, odbierając oddech. Dlaczego tu siedzi, taki bezbronny i taki potężny? Dlaczego ona, Kapłanka, nie potrafi go pokonać?

- Tylko dlatego pozwalam ci żyć - powiedziała nagle i bez zastanowienia. - Chcę, żebyś mi pokazał, jak wykonuje się magiczne sztuczki. Będziesz żył, dopóki pozostanie ci trochę mocy, by mnie zainteresować. Jeśli jej nie masz, jeśli to wszystko tylko bzdury i kłamstwa, skończ z tobą. Rozumiesz?

- Tak.

- Bardzo dobrze. Pokazuj.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Zmienił pozycję. Żelazna obroż nie pozwalała mu usiąść wygodnie. Mógł tylko położyć się na wznak.

Wreszcie podniósł głowę.

- Posłuchaj mnie, Arho - oznajmił z powagą. - Jestem magiem, kims, kogo nazywacie czarownikiem. Zdobyłem pewne umiejętności i pewną moc. To prawda. Lecz prawda jest także to, że tutaj, w Miejscu Dawnych Mocy, moje siły są nikłe, a sztuka zawodzi. Mógłbym stworzyć dla ciebie iluzję i pokazać wszelkie cuda. To najprostsza część magii. Już jako dziecko potrafiłem tworzyć iluzję, udało mi się to nawet tutaj. Jeśli jednak uwierzysz w nie, mogą cię przestraszyć i zechcesz mnie zabić, gdyż lek wzbudzi twój gniew. A jeśli nie uwierzysz, dostrzeżesz w nich tylko bzdury i kłamstwa, jak to określiłaś, wtedy także stracisz życie. A moim głównym celem i pragnieniem jest w tej chwili zachowanie go.

Rozesmiała się wtedy.

- Alez pozostaniesz żywy, przynajmniej przez pewien czas. Nie rozumiesz? Jesteś głupi! No dobrze, pokaz mi te iluzje. Wiem, że nie są prawdziwe, więc się nie przestrasz. Zresztą nie bałabym się także wtedy, gdyby były prawdziwe. Do dzieła. Twoja bezcenna skóra jest bezpieczna, przynajmniej do jutra.

Na to on się rozesmiał, jak ona przed chwilą. Przerzucali między sobą jego życie niczym piłkę.

- Co chcesz, żebyś mi pokazał?

- A co możesz mi pokazać?

- Co zechcesz.

- Alez się przechwalasz!

- Nie - zaprzeczył, wyraźnie dotknięty. - Wcale nie. Przynajmniej nie świadomie.

- Pokaz mi cos, co uwazasz za warte zobaczenia. Cokolwiek.

Pochylil glowe i przez chwile wpatrywyl sie w swoje dlonie. Nic sie nie dzialo. Wysoka swieca w latarni palila sie rownym plomieniem. Ciemne obrazy na scianach, ptasioskrzydla, nielotne postacie o zamglonych, bialych i czerwonych oczach wznosily sie nad obojgiem. Panowala cisza. Arha westchnela rozczarowana i jakby zasmucona. Byl slaby, mowil o wspanialych rzeczach, ale nic nie mial. Byl tylko dobrym klanca, nawet nie dobrym zlodziejem.

- No cóz - powiedziala w koncu i chwycila spódnice, by wstac. Welna zaszelescila dziwnie. Arha spojrzala na siebie i zerwala sie oszolomiona.

Zniknela ciezka czern, jaka nosila od lat. Teraz jej suknia byla z turkusowego jedwabiu, jasna i delikatna jak wieczorne niebo. Wydymala sie na wysokosci bioder, a caly dól wyszywany byl srebrnymi nicmi, malymi perelkami i drobnymi okruciami krysztalu, tak ze material migotal niczym krople kwietniowego deszczu.

Spojrzala na czarownika, nie mogac wydobyć głosu.

- Podoba ci sie?

- Skad...

- Taka suknie nosila ksiezniczka na Balu Powrotu Slonca w Nowym Palacu w Havnorze - wyjasnil, patrzac na nia z satysfakcja. - Prosilas, bym ci pokazal cos wartego zobaczenia. Pokazalem ciebie.

- Zrób... Zrób, zeby to zniknelo.

- Oddalas mi swój płaszcz - odparl jakby z wyrzutem. - Czy ja nic nie moge ci ofiarowac? Ale nie martw sie, to tylko iluzja... Widzisz?

Zdawalo sie, ze nie ruszyl nawet palcem, z pewnoscia nie wyrzekl ani slowa, ale blekitne piekno jedwabiu zniknelo i Arha znów miala na sobie szorstka czarna szate.

Przez chwile stala nieruchomo.

- Skad mam wiedziec - spytala wreszcie - ze jestes tym, kim sie wydajesz?

- Nie wiesz - odparl. - Ja tez nie wiem, kim sie tobie wydaje.

Zastanowila sie.

- Mozesz sprawic, ze bede cie widziec jako... - urwala, gdyz podniósł dlon i szybkim, ledwie widocznym gestem wskazal palcem strop. Sadzila, ze rzuca czar i szybko cofnela sie do drzwi. Podazyla jednak wzrokiem w góre i w szarym, lukowym sklepieniu dostrzegla niewielki kwadrat - wizjer ze skarbca w swiatyni Blizniaczych Bóstw.

Przez otwór nie wpadala ani odrobina swiatla, nic nie widziala, nikogo nie slyszala nad glowa. Lecz on wskazal otwór i teraz patrzyl na nia pytajaco.

Na dluga chwile oboje zamarli w bezruchu.

- Twoja magia to zwykle sztuczki, dobre dla dzieci - powiedziała glosno i wyraznie. - Oszustwo i kłamstwa. Dosc juz widzialam. Zostaniesz rzucony na pozarcie Bezimiennym. Nie przyjde tu wiecej.

Chwycila latarnie, wyszla i z hukiem zatrzasnela rygle. Stanela przed drzwiami i zastanowila sie. Co powinna zrobic?

Ile widziala i slyszala Kossil? O czym wlasciwie rozmawiali? Nie mogla sobie przypomniec. Zdawalo sie, ze nie potrafi powiedziec wiezniowi tego, co sobie zaplanowala. Ciagle wytracal ja z rownowagi tymi historiami o smokach, wiezach, nadawaniu imion Bezimiennym, checi pozostania przy zyciu i wdziecznosci za plaszcz, na którym lezal. Nigdy nie mówil tego, co powinien. Nie spytala go nawet o talizman, wciaz ukryty na piersi.

I bardzo dobrze, skoro Kossil tego sluchala.

Co to zmienialo? Co mogla zrobic Kossil? Arha znala odpowiedz juz w chwili, gdy zadawala sobie to pytanie. Nie ma stworzenia, które latwiej zabic niz jastrzebia w klatce. Obcy byl bezradny, przykuty do sciany swej kamiennej klatki. Kaplanka Boga-Króla musiala tylko poslac DUBY'ego, by noca zadlawil wieznia. Albo, jesli DUBY nie znal tak dobrze Labiryntu, wystarczylo przez otwór nad Malowana Komnata wdmuchnac trujacy proszek. Miala przeciez u siebie pudelka i buteleczki pelne groznych substancji. Niektóre sluzily do zatruwania zywnosci i wody, inne truly powietrze i zabijaly, gdy ktos oddychal nimi zbyt dlugo. Rankiem obcy bedzie martwy i wszystko sie skonczy. Juz nigdy nie zaplonie swiatlo pod Grobowcami.

Arha pospieszyla waskimi kamiennymi korytarzami ku wejsci do Podgrobia, gdzie czekal na nia Manan, cierplivy i skulony jak stara ropucha wsród nocy. Niepokoil sie, gdy odwiedzala wieznia. Ona jednak nie chciala go ze soba zabierac. Zgodzili sie wiec na kompromis. Teraz cieszyła sie, ze jest pod reka. Jemu przynajmniej mogla zaufac.

- Sluchaj, Manan. Pójdiesz teraz do Malowanej Komnaty. Natychmiast. Powiedz wiezniowi, ze zabierasz go do Podgrobia, gdzie bedzie pogrzebany zywcem pod Kamieniami. - Oczka Manana rozblysly. - Powiesz to glosno. Potem otworzysz klódkę na lancuchu i zaprowadzisz... - urwala, gdyz nie wymyslila jeszcze, gdzie najlepiej bedzie ukryc przybysza.

- Do Podgrobia - podpowiedzial ochoczo Manan.

- Nie, durniu. Kazalam ci to powiedziec, nie zrobic. Zaczekaj... Gdzie mozna go bylo ukryc przed Kossil i jej szpiegami? Nigdzie prócz najglebszych podziemi, najswietszych i najbardziej tajemnych obszarów dziedziny Bezimiennych, których ona sama nie odwazyla sie jeszcze zbadac. Ale czyz Kossil nie odwazy sie prawie na wszystko? Owszem, boi sie ciemnosci, ale pokona lek dla osiagniecia swych celów. Któz mógł wiedziec, jak dobrze zna Labirynt, jak wiele nauczyla sie od Thar, od Arhy w jej poprzednim zyciu, nawet z wlasnych sekretnych wypraw. Arha podejrzewala, ze Kossil wie wiecej, niz sie przyznaje. Istniala jednak droga, której nie mogla poznac, najglebiej chroniona tajemnica.

- Dostarczysz wieznia tam, gdzie ci wskaze. Musisz to zrobic w ciemnosci. Potem, kiedy wyprowadze cie znów tutaj, wykopiesz grób, zrobisz trumne, wlozysz pusta do tego grobu i zasypiesz ziemia tak, by mozna bylo ja znalezc, gdyby ktos szukal. Głęboki grób. Zrozumiales?

- Nie - odparl Manan glosem surowym, choc strapionym. - Panienko, nie powinnas popelniac tego oszustwa. To nie jest slusne! Ten mezczyzna nie powinien tu przebywac! Kara czeka...

- Owszem, pewien stary głupiec skonczy z wyrwanym jezykiem! Osmielasz sie mówic mi, co jest sluszne? Wykonuje rozkazy Ciemnych Poteg. Idziemy!

- Wybacz mi, panienko. Przepraszam...

Wrócili do Malowanej Komnaty. Arha zostala w tunelu, gdy Manan wszedl do srodka i otworzyl klamre trzymajaca lancuch.

- Dokad teraz, Manan? - uslyszala gleboki glos i szorstka, posepna odpowiedz:

- Bedziesz pogrzebany zywcem, jak kaze moja pani. Pod Kamieniami Grobowymi. Wstawaj!

Ciezki lancuch trzasnal jak bicz.

Wiezien wyszedl na zewnatrz z rekami zwiazanymi z tylu skórzany pasem Manana. Eunuch szedl z tylu, prowadzac go na krótkim lancuchu jak psa na smyczy. Mezczyzna spojrzal na nia, lecz Arha zdmuchnela swiece i bez jednego slowa ruszyla przez mrok. Natychmiast wpadla w powolny, równy rytm, który utrzymywala zwykle, gdy bez swiatla przemierzala tunele Labiryntu, stale lekko muskajac palcami sciane po jednej lub drugiej stronie. Manan z wiezieniem szli za nia, nie tak równym krokiem ze wzgledu na lancuch. Szurali nogami i potykali sie w ciemnoscach. Nie mogla jednak zapalic swiatla - nie chciala, by któryś z nich zapamietal droge.

Z Malowanej Komnaty skrecic w lewo, minac jeden korytarz, skrecic w nastepny w prawo, potem dlugi luk zakonczony stopniami prowadzacyimi w dól, dlugimi, sliskimi i o wiele za waskimi dla normalnych ludzkich stóp. Poza te stopnie nigdy jeszcze nie dotarla.

Powietrze bylo tu gorsze, przesycone jakas ostrą wonia. Instrukcje wyraznie rozbrzmiewaly jej w pamieci, slyszala nawet ton glosu Thar, gdy je powtarzala. Schodami w dól (z tylu wiezien potkнал sie w ciemnosc i syknal z bólu, gdy silnym szarpnieciem lancucha Manan uratowal go od upadku), zaraz za nimi skrecic w lewo. Potem w lewo na dwóch rozwidleniach, na trzecim w prawo i dalej w prawo. Tunele wily sie i skrecaly, zaden nie biegł prosto. „Potem musisz przejsc obok Otchlani” odezwal sie wśród mroków umyslu glos Thar. „A sciezka jest bardzo waska”.

Zwolnila, przykucnela i reka sprawdzala podloge przed soba. Znalezi sie w dlugim, prostym odcinku korytarza, stwarzajacym złudne poczucie bezpieczenstwa. Zupelnie nagle jej palce, kolistymi ruchami bez ustanku badajace droge, trafily w próznie. Kamienna krawedz, a potem juz nic... Pustka. Po prawej stronie sciana korytarza opadala pionowo w otchlan. Po lewej byl próg, waska półka, szeroka nie wiecej niz na dlon.

- Tu jest przepasc. Stancie przodem do sciany po lewej stronie, przycisnijcie sie do niej i idzcie bokiem. Przesuwajcie stopy. Trzymaj mocno lancuch, Manan... Jestescie na półce? Robi sie coraz wezsza. Nie wolno sie opierac na pietach. No, przeszlam. Daj reke. Ostroznie...

Potem tunel biegł krótkimi zakosami, mijajac wiele bocznych korytarzy. Z niektórych, gdy je mijali, dobiegalo niezwykle, gluche echo ich kroków, a co dziwniejsze, dalo sie wycucz slaby powiew. Te tunele musialy konczyc sie przepasciami podobnymi do tej, która wlasnie mineli. Byc moze pod ta czescia Labiryntu rozciagalą sie pustka, jaskinia tak gleboka i ogromna, ze w porównaniu z nia Podgrobie zdawaloby sie nieduze - wielka, czarna, podziemna przestrzen.

Lecz ponad pustka, tam gdzie sie znajdowali, tunele stawaly sie coraz wezsze i nizsze, az wreszcie nawet Arha musiala schylac glowe. Czy ta droga nie miala konca?

Lecz koniec nastąpił: zamknięte drzwi. Maszerując z pochyloną głową i nieco szybciej niż zwykle, Arha zderzyła się z nimi, rozbijając czoło i dłonie. Wymacała dziurkę od klucza, potem znalazła na swoim kółku nigdy nie używany mały kluczyk z piórem w kształcie smoka. Pasował i przekreślił się bez oporu. Arha otworzyła drzwi Wielkiego Skarbcza Grobowców Atuanu. Owiał ją suche, stęchłe, kwasne powietrze.

- Manan, nie możesz tam wejść. Zaczekaj pod drzwiami.

- Jemu wolno, a mnie nie?

- Jeśli tu wejdiesz, Manan, nigdy już nie wyjdiesz. Takie jest prawo dla wszystkich prócz mnie. Poza mną żadna istota śmiertelna nie opuściła żywa tej komnaty. Czy chcesz wejść?

- Zaczekam tutaj - odparł z ciemności głos pełen melancholii. - Panienko, panienko, nie zamykaj drzwi...

Jego strach zirytował ją bardzo, ale zostawiła drzwi otwarte na oścież. W rzeczy samej, to miejsce budziło niewytłumaczalny lęk. W dodatku mimo wieżów nie w pełni ufała obcemu. Gdy weszli, zapaliła światło. Rece jej drżały. Świeca w latarni rozpaliała się opornie - powietrze było tu duszne i jakby martwe. Żółtawy płomyk po długiej drodze w ciemności zdawał się niezwykle jaskrawy. Komnata skarbcza otworzyła się wokół nich, pełna rozkolosowanych cieni.

Stało tu sześć wielkich kamiennych skrzyń, pokrytych grubą warstwą drobnego kurzu. Nic więcej. Ściany były nierówne, sklepienie niskie. Panował chłód - głęboki, bezwietrzny chłód, który zdawał się zatrzymywać bicie serca. I żadnych pajęczyn, tylko kurz. Nie było tu nic żywego, absolutnie nic, nawet rzadko spotykanych, małych białych pajaków Labiryntu. Pył zalegał grubą warstwą, a każde jego ziarenko mogło być dniem, co najmniej tu, gdzie nie istniał czas ani światło: dni, miesiące, lata, stulecia zmienione w pył.

- Oto miejsce, którego szukales - oznajmiła Arha. Głos jej nie drżał. - Oto Wielki Skarbiec Grobowców Atuanu. Dotarles do niego. I nigdy go nie opuścisz.

Nie powiedział ani słowa, a jego twarz pozostała spokojna, lecz w ciemnych oczach dostrzegła coś, co ją poruszyło: żal, wzrok człowieka, który został zdradzony.

- Mówiles, że chcesz zostać żywy. To jedyne miejsce, jakie znam, gdzie jest to możliwe. Kossil zabiłaby cie, Krogulcze, albo zmusiłaby do tego mnie. Tutaj nie może cie dosięgnąć.

Wciąż milczał.

- I tak nie mógłbys opuścić Grobowców, nie rozumiesz? To żadna różnica. A tak dotarles przynajmniej do... do kresu podróży. Tutaj jest to, czego szukales.

Usiadł na jednej z wielkich skrzyń. Wyglądał na zmęczonego. Lancuch brzeknął głośno o kamień. Wiezien spojrzał na szare ściany, na cienie. I na nią.

Odwróciła wzrok, przyjrzała się kamiennym skrzyńom. Wcale nie miała ochoty ich otwierać. Nie była ciekawa cudów, jakie gnily w ich wnętrzach.

- Tutaj lancuch nie będzie już potrzebny - podeszła i odpięła klódkę, potem rozwiązała skórzany pas Manana. - Muszę zamknąć drzwi, ale kiedy wrócę, zaufam ci. Wiesz, że nie możesz, naprawdę nie

możesz stąd wyjść? Ze nie wolno ci nawet próbować? Ja jestem ich zemsta, narzędziem ich woli, lecz jeśli ich zawiodę... jeśli ty zawiedziesz moje zaufanie... wtedy zemści się sami. Nie wolno ci próbować opuścić tej komnaty, ani ranić mnie, ani oszukiwać. Musisz mi uwierzyć.

- Zrobię, co mówisz - odpowiedział łagodnym tonem.

- Gdy tylko zdołam, przyniosę jedzenie i wodę. Nie będzie tego wiele. Wody, owszem. Ale jedzenia niedużo, przynajmniej przez pewien czas. Ja też jestem głodna, rozumiesz? Ale wystarczy tego, żebyś nie umarł z głodu. Chyba nie będę się mogła tu zjawić przez dwa dni, może nawet dłużej. Muszę odwrócić podejrzania Kossil. Ale przyjdę. Obiecuję. Tu masz manierkę. Oszczędzaj wody, bo wróć nieprędko. Ale wróć na pewno.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Uwważaj na siebie, Tenar - powiedział.

Rozdział ósmy

Imiona

Poprowadziła Manana z powrotem kreta drogą w ciemnościach i pozostawiła w Podgrobiu, by wykopał mogile. Musiała tam być jako dowód dla Kossil, że złodziej naprawdę poniósł karę. Było już późno, poszła więc prosto do Małego Domu i do łóżka. Zbudziła się nagle wśród nocy, przypomniała sobie, że jej płaszcz został w Malowanej Komnacie. On nie będzie miał się czym okryć w wilgotnej komorze, nie ma nic prócz własnej krótkiej oponczy. Zimno, zimno jak w grobie, myślała przejeta litoscia. Była jednak zbyt zmęczona, by rozbudzić się do końca i po chwili znów zapadła w sen. Wtedy zaczęła snuć. Śniła o duszach umarłych na ścianach Malowanej Komnaty, o postaciach podobnych do wielkich zmokniętych ptaków o ludzkich dłoniach, stopach i twarzach, skulonych w pyłe ciemnych miejsc. Nie potrafiły latać. Ziemia była ich pożywieniem, kurz ich napojem. To były dusze tych, którzy się nie odrodzili, starożytnych i niewiernych, których pochłoneli Bezimienni. Siedziały wokół niej w mroku, a od czasu do czasu dobiegały z ich strony słabe skrzeczenia i piski. Jedna podeszła bardzo blisko. Z początku Arha trochę się bała i próbowała cofnąć, ale nie mogła się ruszyć. Ta postać miała ptasia, nie ludzką twarz, lecz jej włosy lśniły niczym złoto.

- Tenar - zawołała ją kobiecym głosem, delikatnie i miękko. - Tenar.

Przebudziła się. Ziemia zatykała jej usta. Leżała pod ziemią, w kamiennym grobie. Całun krepował jej ręce i nogi, nie mogła się poruszyć ani krzyknąć.

Jej desperacja wzrosła tak bardzo, że rozsądziła piers i niby ognisty ptak skruszyła kamienie, by wlecieć w światło dnia - szary blask w pozbawionej okien sypialni.

Rozbudzona - tym razem naprawdę - usiadła na posłaniu, zmęczona nocnymi koszmarami i niezbyt jeszcze przytomna. Ubrała się i wyszła do cysterny na ogrodzonym dziedzińcu Małego Domu. Tam zanurzyła w lodowatej wodzie ręce i twarz, a potem całą głowę, aż dygotała z zimna, a krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Odrzuciła do tyłu mokre włosy i stanęła wyprostowana, spoglądając w poranne niebo.

Słońce weszło niedawno. Zapowiadał się pogodny zimowy dzień. Wysoko - tak wysoko, że oświetlały go pierwsze promienie słońca - krzątał ptak, jastrząb albo pustylny orzeł. Błyszczał jak złoty punkcik.

- Jestem Tenar - powiedziała niezbyt głośno i zadrżała z zimna, ze zgrozy, z podniecenia pod otwartym, jasnym niebem. - Odzyskałam swoje imię. Jestem Tenar!

Złoty punkcik skreślił na zachód, w stronę gór i zniknął. Słońce błyszczało na okapach Małego Domu. Z zagrody dobiegał dźwięk dzwonków. Lekki wiatr niósł zapach dymu i gryki z kuchennych kominów.

- Jestem taka głodna... Skąd on wiedział? Skąd znalazł moje imię? Och, muszę coś zjeść, jestem strasznie głodna...

Naciągnęła kaptur i pobiegła na śniadanie.

Po trzech dniach postu jedzenie sprawiło, że czuła się pewniejsza, bardziej spokojna. Nie była już oszłamiona, przestraszona. Czuła, że po śniadaniu da sobie radę z Kossil.

Wychodząc z jadalni w Wielkim Domu zbliżyła się do wysokiej, tegiej kobiety i oznajmiła cichym głosem:

- Złatwiłam sprawę ze złodziejem... Cóż za piękny dzień!

Spod kaptura spojrzały na nią zimne szare oczy.

- Sądziłam, że po złożeniu ofiary Kapłanka musi przez trzy dni powstrzymać się od jedzenia?

Tak było. Arha zapomniała o tym i wyraz jej twarzy wyraźnie o tym świadczył.

- On jeszcze żyje - stwierdziła w końcu, próbując nadać głosowi ten ton obojętności, który jeszcze przed chwilą przychodził jej bez trudu. - Jest żywcem pogrzebany. Pod Grobowcami. W trumnie. Ma trochę powietrza, bo trumna nie jest szczelna. Drewniana. Będzie umierał powoli. Kiedy umrze, rozpocznie post.

- Skąd będziesz wiedzieć?

Zawahała się znowu, zmieszana.

- Będzie. Ja... Moi Władcy mi powiedzą.

- Rozumiem. Gdzie jest grób?

- W Podgrobiu. Kazałam Mananowi wykopać go pod Gładkim Kamieniem. - Nie wolno jej odpowiadać tak pośpiesznie, tym głupim, unizonym tonem. Rozmawiając z Kossil musi okazywać godność.

- Żywy, w drewnianej trumnie. To ryzykowne posunięcie, gdy ma się do czynienia z czarownikiem. Czy jesteś pewna, że jego usta zostały zakneblowane, by nie mógł wypowiadać zakleć? Czy ma związane ręce? Oni potrafią rzucać czary ruchem palca, nawet gdy wyrwie się im języki.

- Ta jego magia to zwykle sztuczki - odparła podnosząc głos. - Został pogrzebany i moi Władcy czekają na jego dusze. A reszta cie nie dotyczy, kapłanko!

Tym razem posunęła się za daleko. Inni słyszeli: Penthe i kilka dziewcząt. Doby i kapłanka Mebbeth, wszyscy byli w zasięgu głosu. Dziewczeta zmieniły się w słuch, a Kossil wiedziała o tym doskonale.

- Wszystko, co się tu dzieje, jest moja sprawa, pani. Wszystko, co zdarza się w jego dziedzinie, jest sprawa Boga-Króla, Człowieka Nieśmiertelnego, którego jestem sługą. Nawet do miejsc podziemnych i do serc ludzkich wkracza i zagląda, a nikt nie broni mu wejścia.

- Ja bronie. Nikt nie wchodzi do Grobowców, jeśli Bezimienni tego zakazują. Istnieli przed twoim Bogiem-Królem i beda istnieć, gdy on odejdzie. Mów o nich cicho, kapłanko. Nie ściągaj na siebie ich zemsty. Wejda w twoje sny, wkrocza w mroczne zakamarki twego umysłu. Sprowadza na ciebie obłęd.

Oczy dziewczyny plonęły. Czarny kaptur osłaniał twarz Kossil. Penthe i inne patrzyły, przestraszone i zasluchane.

- Sa starzy - odezwał się głos Kossil, cicha, swiszcząca nic dźwięku z glebi kaptura. - Bardzo starzy. Wiara w nich przetrwała tylko w tym miejscu. Ich potęga się rozwiała. Sa tylko cieniami. Nie mają żadnej mocy. Nie próbuj mnie zastraszyć. Pozarta. Jesteś Pierwszą Kapłanką, czy nie oznacza to również, że jesteś ostatnią? Nie oszukasz mnie. Ciemność nie ma przede mną tajemnic. Strzeż się, Arho!

Odwróciła się i odeszła ciężkim, równym krokiem. Obute w sandały stopy zginały oszronione zdębła trawy na drodze do otoczonej białymi kolumnami świątyni Boga-Króla.

Szczupła, ciemna postać dziewczyny pozostała jak wmarznięta w ziemi na dziedzińcu Wielkiego Domu. Wszyscy zamarli. Nic się nie poruszało aż do krańców widnokręgu, na podwórku i koło świątyni, na wzgórzach, w pustyni i w górach.

Jedynie Kossil.

- Niech Mroczne Bóstwa pozrą twoją duszę, Kossil! - zawołała głosem jak krzyk jastrzębia i podniósłszy wyprostowaną sztywno rękę cisnęła klatkę ku szerokim plecóm kapłanki, gdy ta stawiała nogę na stopniach swej świątyni. Kossil zachwiała się, ale nie zatrzymała ani nie odwróciła. Szła dalej, przez brame Boga-Króla.

Arha spędziła resztę dnia siedząc na najniższym stopniu Pustego Tronu. Nie śmiała wracać do Labiryntu, nie miała ochoty na towarzystwo innych kapłanek. Dziwna ocieźność ogarnęła ją i nie pozwalała ruszyć się z miejsca. Godzina za godziną mijaly w chłodnym półmroku wielkiej sali. Arha patrzyła na szeregi podwójnych, potężnych, jasnych kolumn, znikające w cieniu na koncu sali, na skosne promienie światła wpadające przez dziury w dachu, na pasma gęstego dymu z brązowego trójnogu, na którym plonął węgiel drzewny. Na marmurowym stopniu układała wzory z mysich kości. Siedziała z pochyloną głową. Jej umysł pracował, choć w stanie jakby oszłolomienia.

Kim jestem? zapytywała sama siebie i nie otrzymywała odpowiedzi.

Nadszedł Manan. Powłócząc nogami zbliżał się między podwójnymi szeregami kolumn. Światło dnia nie

rozjasniało już mroku Sali, a chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Kragła twarz eunucha wyrażała głęboki smutek. Stał przed nią zwieszając swe wielkie dłonie. Oddarty skraj rdzawego płaszcza zwisał mu do stóp.

- Panienko...

- O co chodzi, Manan? - spojrzała na niego z sympatią.

- Malenka, pozwól mi zrobić to, o czym mówiłaś... co powiedziałaś, że się stało. On musi zginąć, malenka. Zaczarował cię. Ona się zemści. Jest stara i okrutna, a ty zbyt młoda. Nie masz dość siły.

- Nic mi nie może zrobić.

- Gdyby cię zabiła, nawet otwarcie, na oczach wszystkich, nikt w Imperium nie osmieliłby się jej ukarać. Jest przecież Najwyższą Kapłanką Boga-Króla, a Bóg-Król włada Kargadem. Ale ona nie zabije cię otwarcie. Zrobi to ukradkiem, trucizną, pod osłoną nocy.

- Wtedy odrodzi się na nowo.

Manan zacisnął dłonie.

- Może cię nie zabijać - szepnął.

- Co to znaczy?

- Może cię zamknąć w komnacie w... na dole. Jak ty zamkniesz jego. Będziesz tam żyła, nawet całe lata. Lata... I nie urodzi się nowa Kapłanka, bo ty nie umrzesz. Ale nie będzie już Kapłanki Grobowców i nikt nie odtanczy tańców o nowiu księżycy, nikt nie złoży ofiary, nie wyleje krwi. Wiara Mrocznych Bóstw zostanie zapomniana na zawsze. Ona i jej Pan chcieliby, żeby tak się stało.

- Bogowie mnie uwolnią, Manan.

- Nie, jeśli będą się gniewać, panienko - szepnął Manan.

- Gniewać?

- Przez niego... Nie pomszczone świętokradztwo. Och, malenka, malenka! Oni nie wybaczą!

Siedziała z pochyloną głową w kurzu pokrywającym najniższy stopień. Patrzyła na mały przedmiot, trzymany w dłoni - na małą czaszkę myszy. Wśród krokwi ponad Tronem zaczynały się budzić sowy - nadchodziła noc.

- Nie schodź dziś do Labiryntu - odezwał się Manan bardzo cicho. - Wróć do domu i śpij. Rankiem idź do Kossil i powiedz, że odwołujesz kłatwę. To wszystko. Nie musisz się martwić. Pokażę jej dowód.

- Dowód?

- Ze czarownik nie żyje.

Siedziała nieruchomo. Wolno zacisnęła palce, a krucha czaszka trzasnęła i rozsypała się. Kiedy otworzyła dłoń, były tam tylko odłamki kości i pył.

- Nie - rzekła.

Strzepnęła pył z palców.

- On musi umrzeć. Rzucił czar na ciebie. Jesteś zgubiona, Arho!

- Nie rzucił na mnie czaru. Jesteś stary i tchórzliwy, Manan. Boisz się starych kobiet. Jak chcesz do niego trafić i zabić go, by zdobyć swój „dowód”? Czy pamiętasz drogę do Wielkiego Skarbcza, która przeszedłeś w ciemności poprzedniej nocy? Czy potrafisz odliczyć zakrety, dojść do stopni, potem do przepaści i do drzwi? Czy umiesz je otworzyć? Biedny Mananie, na starość tracisz rozum. Ona cię przeraziła. Sam idź do Małego Domu i spij. Zapomnij o tych sprawach. Nie irytuj mnie więcej opowieściami o śmierci. Ja przyjdę później. Idź już, idź, ty głupcze, stary grubasie. - Wstała i delikatnie pchnęła go w szeroka piers. Poklepywała go i wypychała do wyjścia. - Dobrej nocy. Dobrej nocy!

Odwrócił się ciężko, niechętnie, pełen złych przeczuć, ale posłuszny. Poczłapał przez ciemne sale pod kolumnami i zniszczonym dachem. Odprowadziła go spojrzeniem.

A kiedy odszedł, odczekała chwilę, po czym odwróciła się, wyminęła stopnie i zniknęła w mroku za Tronem.

Rozdział dziewiąty

Pierscien Erreth-Akbego

W Wielkim Skarbcu Grobowców Atuanu czas stał w miejscu. Nie było tu światła, nie było życia, nawet najmniejszy pajak nie poruszał się wśród kurzu ani robak w chłodnej ziemi. Były tylko skały, ciemność i czas, który nie płynął.

Wyciągnięty na kamiennej pokrywie wielkiej skrzyni, podobny do rzeźby na sarkofagu, leżał na wznak złodziej z Wewnętrznych Krain. Nie ruszał się. Wzniesiony przez niego pył osiadał mu na ubraniu.

Szczeknął zamek. Otworzyły się drzwi. Światło rozdarło martwą ciemność, świeży powiew poruszył martwym powietrzem. Mężczyzna leżał nieruchomo.

Arha zamknęła drzwi, przekreśliła klucz od wewnątrz, postawiła latarnie na skrzyni i wolno podeszła do bezwładnej postaci. Szła niesmiało, szeroko otwierając oczy o zrenicach wciąż jeszcze rozszerzonych po długiej wędrówce przez ciemność.

- Krogulcze!

Dotknęła jego ramienia i zawołała znowu, i jeszcze raz. Poruszył się i jęknął. Potem usiadł, ze ścignięta

twarza i pustym wzrokiem. Spojrzał na nią nie poznając.

- To ja, Arha... Tenar. Przyniosłam ci wodę. Masz, pij. Wyciągnął jakby pozbawiona czucia rękę, chwycił manierkę i wypił kilka łyków.

- Jak długo to trwało? - spytał, z trudem wymawiając słowa.

- Dwa dni minęły, odkąd tu wszedłeś. Teraz jest trzecia noc. Nie mogłam przyjść wcześniej. Musiałam ukraszyć jedzenie. Tutaj, masz. - Z przyniesionej sakwy wyjęła płaski, ciemny bochenek, lecz on pokręcił głową.

- Nie jestem głodny. To... to śmiertelne miejsce. - Siedział nieruchomo z głową wspartą na dłoniach.

- Nie zimno ci? Przyniosłam płaszcz z Malowanej Komnaty.

Milczał.

Odłożyła płaszcz i stała, patrząc na niego. Drżała lekko, a oczy miała ciemne i szeroko otwarte. Nagle opadła na kolana i rozplakała się. Głęboki szloch wstrząsał jej ciałem, ale nie przynosił leży.

Zesztywniała, zszedł ze skrzyni i pochylił się nad nią.

- Tenar...

- Nie jestem Tenar. Nie jestem Arha. Bogowie umarli, umarli. Oparł jej dłonie na głowie, zrzucając kaptur, i przemówił łagodnym tonem. Słowa nie należały do żadnego języka, jaki kiedykolwiek słyszała. Niby krople deszczu zapadały jej w serce. Łkania cichły powoli.

Kiedy była już spokojna, podniósł ją i jak dziecko posadził na skrzyni, gdzie przedtem leżał. Ujął ją za ręce.

- Dlaczego płakałaś, Tenar?

- Powiem ci. Nie ma znaczenia, co usłyszysz. I tak nie możesz nic zrobić. Nie możesz pomóc. Ty też umierasz, prawda? Więc to nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Kossil, Kapłanka Boga-Króla, zawsze była okrutna... Chciała mnie zmusić, żebym cię zabiła. Tak jak tamtych. A ja nie chciałam. Nie miała prawa. Ona lekcewżyła Bezimiennych i drwiła z nich, a ja rzuciłam na nią kłatwę. I od tego czasu bałam się jej, bo prawda jest, co mówił Manan, że ona nie wierzy w bogów. Chciałaby, żeby o nich zapomniano... I na pewno zabiłaby mnie we śnie. Więc nie spałam. Nie wróciłam do Mądrego Domu, ale zostałam w Sali przez całą noc: w schowku, gdzie są stroje do tańca. Zanim zrobiło się widno, poszłam do Wielkiego Domu i ukradłam trochę jedzenia. Potem wróciłam do Sali i zostałam tam cały dzień. Starłam się coś wymyślić. A wieczorem... Wieczorem byłam taka zmęczona... I pomyślałam, że mogę pójść do świętego miejsca i tam się przespaciać, bo ona będzie się bała tam przyjść. Więc zeszłam do Podgrobia. To ta wielka grotka, w której pierwszy raz cię zobaczyłam. I... I ona tam była. Musiała wejść przez bramy w czerwonej skale. Była tam z latarnią. Rozgrzebywała grób, który wykopał Manan. Chciała sprawdzić, czy jest w nim ciało. Jak szczur cementarny, wielki, tłusty, czarny szczur grzebiący w ziemi. Światło paliło się w Świętym Miejscu, w dziedzinie ciemności. A Bezimienni nie zrobili nic. Nie zabili jej ani nie sprawili, by oszalała. Są starzy, tak jak mówiła. Umarli. Nie ma ich. Nie jestem już kapłanka.

Mężczyzna słuchał, lekko pochylając głowę. Wciąż trzymał jej dłonie w swoich. Wyraz jego twarzy i

postawa wskazywały, że siły mu wracają, choć blizny na policzku ciągle były sine, a ubranie i włosy pokryte kurzem.

- Przeszłam obok niej przez Podgrobie. Jej świeca dawała więcej cienia niż światła. Nie usłyszała mnie. Chciałam wejść do Labiryntu, żeby od niej uciec. Ale kiedy już tam byłam, wydało mi się, że idzie za mną. We wszystkich korytarzach słyszałam za sobą czyjeś kroki. Nie wiedziałam, dokąd mam pójść. Pomyslałam, że tutaj będę bezpieczna. Że moi Władcy będą mnie chronić i osłaniać. Ale oni tego nie robią... Nie ma ich, są martwi.

- I dlatego płakałaś? Dlatego, że umarli? Ale oni tu są, Tenar, są tutaj.

- Skąd możesz wiedzieć? - spytała słabym głosem.

- Ponieważ przez cały czas, odkąd wkroczyłem do groty pod Kamieniami Grobowymi, staram się utrzymywać ich w nieswiadomości, w spokoju. Używam do tego całej swej sztuki, na to tracę swoją siłę. Oplotłem te tunele nieskończoną siecią czarów: czarów snu, spokoju, ukrycia. A jednak wiedza, że tu jestem, na pół świadomi, na pół śpiący, na pół tylko czuwający. I mimo to jestem całkowicie wyczerpany stawianiem im oporu. Tutaj jest najstraszniejsze miejsce. Dla jednego człowieka, samotnego, nie ma tu żadnej nadziei. Konalem z pragnienia, kiedy przyniosłaś mi wodę, a przecież nie sama woda mnie ocaliła, lecz moc rak, które ja podały.

Mówiąc to na chwilę obrócił jej dłoń wewnątrz do góry i przyjrzał się im uważnie. Potem odwrócił się, przeszedł kilka kroków i znowu stanął przed nią.

- Naprawdę myślisz, że są martwi? Twoje serce wie lepiej. Oni nie umierają. Są mroczni i nigdy nie umierają, i nienawidzą światła: przelotnego, jasnego płomyka naszej śmiertelności. Są niesmiertelni, ale nie są bogami. Nigdy nie byli. Niegodni są czci okazywanej im przez choćby jedną ludzką duszę.

Słuchała z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzona w migoczący płomyk latarni.

- Czy dali ci coś kiedykolwiek, Tenar?

- Nie - szepnęła.

- Nie mają nic do dania. Nie mają mocy tworzenia. Wszystkie ich siły służą zaciemnianiu, niszczeniu. Nie mogą opuścić tego miejsca... Oni są tym miejscem i im należy je zostawić. Nie można zaprzeczyć ich istnieniu ani o nich zapomnieć, ale nie wolno ich czcić. Ziemia jest piękna, jasna i dobra, ale to nie wszystko. Ziemia jest także straszna, ciemna i okrutna. Ginący królik krzyczy wśród zielonych łąk. Góry zaciskają potężne dłonie, pełne ukrytego ognia. W morzu żyją rekiny, w oczach ludzi nienawisc. A gdzie ludzie oddają temu cześć, tam kwitnie zło, powstają miejsca całkowicie oddane Tym, których zwiemy Bezimiennymi: pradawnym, potężnym siłom Ziemi sprzed nadejścia Światła, siłom ciemności, zniszczenia i szalenstwa... Myślę, że już dawno pozbawili rozumu twoją kapłankę, Kossil. Myślę, że wiele razy przeszukiwała te groty tak, jak przeszukuje labirynt własnego umysłu, a teraz nie potrafi już zobaczyć światła dnia. Powiedziała ci, że Bezimienni są martwi... Tylko stracona dusza, stracona dla prawdy, może w to uwierzyć. Oni istnieją. Ale nie są twoimi Władcami. Nigdy nie byli. Jesteś wolna, Tenar. Nauczono cię być niewolnicą, lecz wyrwałaś się na swobodę.

Siedziała zasluchana. Nie powiedział ani słowa więcej. Milczeli, lecz to milczenie było inne niż cisza, jaka panowała w komnacie przed jej przyjściem. Teraz wypełniały ją ich oddechy, płynące w żyłach krew, skwierczenie świecy w cynowej latarni... Mikroskopijne, żywe dźwięki.

- Jak to sie stalo, ze znasz moje imie?

Krogulec spacerowal tam i z powrotem. Rozprostowywal ramiona i barki, by strzasnac z siebie paralizujacy chłod.

- Znac imiona to mój zawód. Moja sztuka. Rozumiesz, zeby uplesc czar wokół czegoś, trzeba znac prawdziwe tego imie. W krajach, skąd przybyłem, przez cale zycie ukrywamy nasze imiona przed wszystkimi prócz tych, którym ufamy całkowicie. Wielka bowiem sila i wielkie niebezpieczeństwo tkwi w imieniu. Kiedys, u zarania czasu, gdy Segoy wydzwignal z glebin oceanu wyspy Ziemiomorza, wszystkie rzeczy nosily swoje prawdziwe imiona. I wszystkie czary, cala magia, zaleza od znajomosci, poznania na nowo, pamietania tego prawdziwego, pradawnego jezyka Tworzenia. Naturalnie, sa zaklecia, których sie trzeba nauczyc, sa sposoby uzywania słów. Trzeba tez rozumiec ich konsekwencje. Ale swe zycie mag poswieca poznawaniu imion rzeczy i poznawaniu sposobów poznawania imion rzeczy.

- A jak poznales moje?

Patrzyl na nia przez chwile - glebokie, czyste spojrzenie poprzez dzielacy ich mrok. Wahal sie.

- Nie moge ci tego powiedziec. Jestes jak latarnia: przykryta, schowana w ciemnym miejscu. A jednak swiatlo lśni. Oni nie moga go zgasic, nie moga cie ukryc. Kiedy dostrzeglem to swiatlo, kiedy poznalem ciebie, wtedy znalazem twoje imie. Wiecej nie moge powiedziec. Ale ty powiedz: co teraz zrobisz?

- Nie wiem.

- Kossil na pewno juz wie, ze grób jest pusty. Co zrobi?

- Nie wiem. Jesli wróce, moze kazac mnie zabic. Dla Najwyzszej Kaplanki klamstwo to smierc. Jesli zechce, moze zlozyc mnie w ofierze na stopniach Tronu. Tym razem Manan bedzie musial naprawde uciac mi glowe, zamiast po prostu podniesc miecz i czekac, az Czarna Postac go powstrzyma. Tym razem jej nie bedzie.

Miecz spadnie i odetnie mi glowe.

Mówila powoli, gluchym głosem. Mezczyzna zmarszczyl brwi.

- Jezeli zostaniemy tu dluzej - powiedzial - oszalejesz, Tenar. Gniew Bezimiennych ciazy na twoich myslach. Moich takze. Teraz jest lepiej... Duzo lepiej, od kiedy przyszlas. Ale dlugo bylem sam i zuzyłem wieksza czesc swojej mocy. Nikt samotny nie zdola sie dlugo opierac Silom Ciemnosci. Sa potezne.

Umilkł. Jego głos scichł, jakby mówiaczy stracil nagle watek. Przesunal dlonia po czole i raz jeszcze napil sie z manierki. Potem ulamal kawalek chleba, usiadł na skrzyni naprzeciw niej i zaczal jesc.

Mówil prawde. Czula jakis ciezar napierajacy na jej umysl, zaciemniajacy, gmatwajacy kazda mysl, kazde uczucie. Mimo to nie balala sie tak jak wtedy, gdy samotnie przemierzala korytarze. Jedyne absolutna cisza na zewnatrz komnaty wydawala sie straszna. Dlaczego? Nigdy przedtem nie lekala sie ciszy podziemi. Lecz nigdy przedtem nie byla nieposluszna, nigdy nie sprzeciwila sie Bezimiennym.

Rozesmiala sie niewesolo.

- Siedzimy tutaj na najwiekszym skarbie Imperium - powiedziala. - Król-Bóg oddalby wszystkie swoje zony, by móc stad zabrac choc jedna skrzynie. A my nawet nie uchylilismy pokrywy, zeby popatrzec.

- Ja to zrobilem - odparl Krogulec zujac chleb.

- Po ciemku?

- Zrobilem troche swiatla. Niby-swiatla. To bylo trudne. Byloby trudne nawet gdybym mial swoja laske. Bez niej przypominalo rozpalanie ognia z mokrego drzewa w czasie deszczu. W koncu jednak dokonalem tego. I znalazlem to, po co przyszedlem.

Podniosla wolno glowe i spojrzala na niego.

- Pierscien?

- Pól pierscienia. Ty masz druga polowe.

- Ja? Druga polowa zaginela...

- I zostala odnaleziona. Nosilem ja na lancuchu na szyi. Zabralas mi ja i spytalas, czy nie stac mnie na lepszy talizman. Jedyny talizman lepszy od polowy Pierscienia Erreth-Akbego to caly Pierscien. Ale cóz, lepszy rydz niz nic, jak powiadaja. Teraz wiec ty masz moja polowe, a ja twoja.

Poslal jej usmiech poprzez mrok skarbca.

- Powiedziales wtedy, ze nie bede wiedziala, co z nim zrobic.

- I tak bylo.

- A ty wiesz?

Kiwnal glowa.

- Powiedz mi. Powiedz, czym jest ten Pierscien i jak odnalazles zagubiona czesc, i jak dotarles tutaj, i dlaczego. Musze to wiedziec, a wtedy moze dowiem sie, co powinnam uczynic.

- Moze sie dowiesz. Bardzo dobrze. Czym jest Pierscien Erreth-Akbego? No cóz, jak sama widzisz, nie wyglada na cenny i chyba nawet nie jest Pierscieniem. Jest za duzy. Moze raczej bransoletka, ale na to z kolei jest chyba za maly. Zaden z ludzi nie wie, dla kogo zostal zrobiony. Nosila go Elfarran Piekna, zanim wyspa Solea znikla pod falami morza, juz wtedy byl stary. W koncu trafil do rak Erreth-Akbego... Wykuty jest z litego srebra i ma dziewiec otworów. Na zewnetrznej powierzchni wyryte sa jakby fale, a wewnatrz dziewiec Run Mocy. Na tej polowie, która jest u ciebie, sa cztery runy i kawalek piatej, na mojej podobnie. Pekniecie przeszlo dokladnie przez symbol i zniszczilo go. To wlasnie ten znak nazywano od owego czasu Zaginiona Runa. Pozostale osiem znane jest Magom: runa Pirr, chroniaca od szalenstwa, wiatru i ognia. Runa Ges, która daje wytrzymalosc. I tak dalej. Ale peknieta runa byla ta, która wiazala panstwa. To byla Runa Wiezi, symbol panowania i pokoju. Zaden wladca nie mógł rzadzic dobrze, jesli nie rzadzil pod jej znakiem. Nikt nie wie, jak nalezy ja pisac. Od kiedy zaginela, w Havnorze nie bylo wielkich królów. Byli ksiazeta i tyrani, byly klótnie i wojny miedzy krajami Ziemiomorza. Madrzy wladcy i Magowie Archipelagu pragneli wiec Pierscienia Erreth-Akbego, by odtworzyc Zaginiona Rune. W koncu jednak przestali wysylac ludzi na poszukiwania, gdyz nikt nie potrafil odzyskac jednej czesci, która spoczywala w Grobowcach Atuanu, a druga, która Erreth-Akbe podarowal kargijskiemu wladcy, zaginela bardzo dawno temu. Twierdzili, ze nic dobrego z tych poszukiwan nie wynika. Dzialo sie to setki lat temu.

Zastanowił się.

- Potem ja się pojawiłem. Kiedy byłem tylko trochę starszy niż ty teraz, prowadziłem... pościg, rodzaj łowów na morzu. Ten, którego ścigałem, zwiódł mnie i zostałem wyrzucony na pustą wyspę, niezbyt odległą od brzegów Karego-At i Atuanu, na południe i na zachód stąd. To była mała wyspa, niewiele większa od lawicy piasku. W środkowej części miała podługne, porośnięte trawą wydmy, źródło słonawej wody i nic więcej. A jednak żyło tam dwoje ludzi: stary mężczyzna i kobieta, brat z siostrą, jak przypuszczam. Bali się mnie. Nie widzieli twarzy innego człowieka przez... jak długo? Lata, dziesiątki lat. Ale byłem w potrzebie, a oni byli dla mnie dobrzy. Mieli chatę z drzewa wyrzuconego przez fale i mieli ogień. Staruszka przyniosła mi jedzenie, mało zbierane na skałach w czasie odpływu i suszone mięso morskich ptaków, które zabijali rzucając w nie kamieniami. Bala się, ale nakarmiła mnie. Potem, kiedy nie robiłem nic, co mogłoby ją przstraszyć, nabrała do mnie zaufania i pokazała swój skarb. Ona także miała swój skarb... To była mała sukienka. Cała z jedwabiu, wyszywana perłami. Sukienka małego dziecka, sukienka księżniczki. Sama miała na sobie niewyprawione focze futro. Nie mogliśmy rozmawiać. Wtedy nie znałem jeszcze mowy kargijskiej, a oni żadnego spośród języków Archipelagu, a i własny dość słabo. Ktoś musiał ich przywieźć na tę wyspę, gdy byli małymi dziećmi i zostawić tam na śmierć. Nie wiem dlaczego i wątpię, by oni sami wiedzieli. Zнали tylko wyspę, wiatr i morze. Ale kiedy odpływałem, ona dała mi prezent. Dała mi zaginioną połowę Pierscienia Erreth-Akbego.

Przerwał na chwilę.

- Nie wiedziałem, co to jest, ani ona nie wiedziała. Najwspanialszy dar tej ery, a dała go głupia kobieta w foczej skórze tepemu prostakowi, który wepchnął go do kieszeni, mruknął „Dzięki” i odpłynął... Tak więc wyruszyłem i zrobiłem, co miałem do zrobienia. Potem zająłem się innymi sprawami, podążyłem na Smocze Stado, na zachód i jeszcze dalej. Cały czas jednak miałem ten przedmiot przy sobie. Czulem bowiem wdzięczność dla starej kobiety, która dała mi jedyną rzecz, jaką miała do ofiarowania. Przeciagnałem lancuch przez otwór, powiesiłem na szyi i więcej o tym nie myślałem. Az pewnego dnia, na Selidorze, Najdalszej Wyspie, w krainie, gdzie tocząc bój ze smokiem Ormem zginął Erreth-Akbe... Otóż na Selidorze rozmawiałem ze smokiem, jednym z rodu Orma. On mi powiedział, co noszę. Wydało mu się bardzo zabawne, że tego nie wiem. Smoki uważają nas za śmiesznych. Ale pamiętają Erreth-Akbego, mówią o nim tak, jakby był smokiem, nie człowiekiem. Kiedy wróciłem na Wyspy Wewnętrzne, trafiłem w końcu do Havnoru. Urodziłem się na Goncie, który leży niezbyt daleko od waszych krain, i sporo wędrowałem od tego czasu. Wreszcie przyszła kolej na Havnor. Zobaczyłem białe wieże, mówiłem z wielkimi ludźmi, kupcami i księżkami, władcami pradawnych dziedzin. Powiedziałem im, co posiadam. Powiedziałem, że jeśli zechcą, wyruszę szukać w Grobowcach Atuanu brakującej części Pierscienia, by znaleźć Zaginioną Rune, klucz do pokoju. Nie skapili mi pochwał, a jeden z nich dał nawet pieniądze na zaopatrzenie łodzi. Nauczyłem się więc twojego języka i przybyłem na Atuan.

Zamilkł spoglądając w ciemność.

- Czy ludzie w naszych miastach nie rozpoznali w tobie człowieka Zachodu? Twoja skóra, twój język...

- Och, łatwo jest oszukać ludzi - odparł niedbale. - Wystarczy znać odpowiednie sztuczki. Zmieniasz się z pomocą iluzji i za jej zasłoną nie rozpozna cie nikt z wyjątkiem innego maga. A wy tutaj, w krajach Kargadu, nie macie czarnoksiężników ani magów. To dziwne. Wypędziliście ich dawno temu i zakazaliście praktykowania Sztuki Magii, a teraz prawie w nią nie wierzycie.

- Nauczono mnie w nią nie wierzyć. To przeczy naukom Królów-Kapłanów. Ale wiem, że tylko czary mogły doprowadzić cie do Grobowców i przez brame w czerwonej skale.

- Nie tylko czary. Także dobra rada. Jak sądzę, częściej od was używamy pisma. Czy umiesz czytać?

- Nie. Czytanie to jeden z czarnych sztuczek.

Kiwnął głową.

- Ale użyteczny - stwierdził. - Jakis dawny, pechowy złodziej pozostawił opis Grobowców Atuanu, a także instrukcje dotyczące wejścia, wystarczające dla kogoś, kto potrafi użyć jednego z Wielkich Zakleć Otwierania. Wszystko było opisane w księdze leżącej w skarbcu księcia Havnoru. Pozwolił mi ją przeczytać. I tak doszedłem aż do wielkiej groty...

- Do Podgrobia.

- Złodziej, który opisał drogę, sądził, że skarb jest właśnie tam, w Podgrobii. Tam więc szukałem, choć miałem przecucie, że musi być ukryty lepiej, głębiej wśród korytarzy. Znalazłem wejście do Labiryntu i wszedłem tam, kiedy cie zobaczyłem. Myślałem, że się schowam i poszukam Pierscienia. To był błąd, oczywiście. Bezimienni pochycili mnie już i zmacili moje myśli. Od tego czasu stawałem się coraz słabszy i coraz głupszy. Nie można się im poddawać, trzeba stawiać opór tak, by duch pozostawał wciąż silny i pewny. Tego nauczyłem się już dawno. Ale to trudne tutaj, gdzie są tak potężni. Oni nie są bogami, Tenar, lecz są silniejsi od każdego z ludzi. Przez długi czas oboje siedzieliśmy w milczeniu.

- Co jeszcze znalazłeś w skrzyniach? - zapytała stłumionym głosem.

- Śmiecie. Złoto, klejnoty, korony, miecze... Nic, do czego miałby prawo ktokolwiek z żywych. Powiedz, Tenar, jak zostałeś wybrany na Kapłankę Grobowców?

- Kiedy umiera Pierwsza Kapłanka, wyruszają, żeby w całym Atuanie szukać dziewczynki urodzonej w dniu jej śmierci. I zawsze znajdują. Dlatego, że to jest Odrodzona Kapłanka. Kiedy skończy pięć lat, przywożą ją tutaj, do Miejsca. A kiedy skończy sześć, zostaje oddana Bezimiennym, a oni pozerają jej dusze. Wtedy już do nich należy, jak należała od zarania dziejów. I nie ma imienia.

- Wierzysz w to?

- Zawsze wierzyłam.

- Czy wierzysz w to teraz?

Nie odpowiedziała. Znowu zapadła cisza.

- Opowiedz mi... - rzekła po długiej chwili. - Opowiedz mi o smokach na zachodzie.

- Tenar, co zamierzasz uczynić? Nie możemy tu siedzieć i opowiadać sobie historii, aż wypali się świeca i znowu zapadnie ciemność.

- Nie wiem, co robić. Boję się. - Siedziała wyprostowana na kamiennej skrzyni, mocno spletała palce i mówiła głośno jak ktoś, kto cierpi. - Boję się ciemności.

- Musisz dokonać wyboru - powiedział miękko. - Albo mnie zostawisz, zamkniesz drzwi, wrócisz do swoich ołtarzy i oddasz mnie swoim władcom... Wtedy powiniś pójść do kapłanki Kossil i zawrzeć z nią pokój. To będzie koniec tej historii. Albo musisz otworzyć drzwi i wyjść razem ze mną. Opuscisz

Grobowce, opuscic Atuan i ruszyc ze mna przez morze. I to bedzie dopiero poczatek. Bedziesz Arha albo bedziesz Tenar. Nie mozesz byc obiema.

Gleboki glos zdawal sie delikatny, lecz brzmial pewnie. Spojrzala poprzez mrok na jego twarz, surowa i poznaczona bliznami, w której jednak nie bylo okrucienstwa ani falszu.

- Jezeli porzuce sluzbe Ciemnych Sil, zabija mnie. Jezeli opuszcze to miejsce, umre.

- Ty nie umrzesz. Umrze Arha.

- Nie moge...

- Aby sie odrodzic, trzeba umrzec, Tenar. To nie takie trudne, gdy na to spojrzec z drugiej strony.

- Oni nie pozwola nam wyjsc. Nigdy.

- Moze nie. Jednak warto spróbowac. Ty masz wiedze, ja umiejetnosc, a miedzy nami jest... Przerwal.

- Jest Pierscien Erreth-Akbego.

- Tak, on takze. Myslam jednak o czym innym. Nazwijmy to zaufaniem... To jedna z jego nazw. Choc kazde z nas z osobna jest slabe, majac je jestesmy silni, silniejsi od Mocy Ciemnosci. - Oczy jasnialy mu czystym blaskiem na poranej bliznami twarzy. - Posluchaj mnie, Tenar - powiedzial. - Przyszedlem tu jako zlodziej, wróg, uzbrojony przeciw tobie. Ty okazalas mi litosc i zaufalas mi. Ja ufalem ci, odkad pierwszy raz zobaczylem twoja twarz, przez jedna chwile, w grocie pod Grobowcami, jakze piekna posród ciemnosci. Ty pokazalas, ze mi ufasz. Ja nic w zamian nie uczynilem. Ofiaruje ci to, co moge ci ofiarowac. Moje prawdziwe imie brzmi Ged. Teraz nalezy do ciebie.

Wstal i wyciagnal ku niej pólokrag z rzezbionego srebra.

- Niech Pierscien znów sie polaczy.

Wziela kawalek metalu z jego dloni. Zsunela z szyi srebrny lancuch, na którym wisiala druga polowa. Rozpiela go. Trzymala teraz na dloni obie czesci. Brzegi pekniecia stykaly sie i Pierscien wygladal, jakby byl jedna caloscia.

Nie podniosla glowy.

- Pójde z toba - rzekla.

Rozdzial dziesiaty

Gniew ciemnosci

Kiedy to powiedziała, mężczyzna imieniem Ged położył dłoń na jej ręce trzymającej peknięty talizman. Spojrzała zaskoczona i spostrzegła, że się śmiecha z upojony tryumfem i życiem. Nagle poczuła się zmieszana i przestraszona.

- Uwolnił nas oboje - powiedział. - Samotnie nikt nie wywalczy wolności. Dalej więc, nie marnujmy czasu, jaki nam pozostał. Potrzymaj go jeszcze przez chwilę.

Zamknęła w dłoni oba kawałki srebra, ale na jego prośbę wyciągnęła rękę. Krawędzie złamania stykały się.

Nie wziął Pierścienia, lecz położył na nim palce i wymówił kilka słów. Potem zalał mu twarz. Poczuła, że na dłoni coś zadrażnia jej delikatnie, jak gdyby poruszyło się spiące tam zwierzątko. Ged odetchnął, odprezył się i otarł czoło.

- Już - powiedział wkładając Pierścień Erreth-Akbego na palce jej prawej ręki. Potem przesunął go przez dłoń, na nadgarstek. - Tutaj. - Przyjrzał się z satysfakcją. - Pasuje. To musiała być bransoleta kobiety albo dziecka.

- Bedzie się trzymał? - szepnęła nerwowo czując, jak delikatna i chłodna srebrna obręcz przesuwa się po jej szczupłej ręce.

- Bedzie. Nie mogłem dla Pierścienia Erreth-Akbego wykorzystac zwykłego uroku reperacji, jak wiejska czarownica naprawiająca garnki. Musiałem użyć Zaklecia Wzorców i uczynić go całością. Teraz jest cały, tak jakby nigdy nie był złamany. Teraz, musimy stąd odejść. Przyniosę sakwę i manierkę. Okryj się płaszczem. Coś jeszcze?

Kiedy męczyła się z zamkiem, dodał:

- Szkoda, że nie mam mojej łaski. A ona, wciąż szepcąc, odparła:

- Leży zaraz za drzwiami. Przyniosłam ją.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zdziwił się.

- Myślałam, że... że zaprowadzę cię do wyjścia. Że pozwolę ci odejść.

- Tego uczynić nie mogłaś. Mogłaś zatrzymać mnie tu, w niewoli i sama pozostać niewolnicą albo uwolnić mnie i odejść wolna wraz ze mną. Dalej, malenka, odwagi. Przekrecz klucz.

Obróciła klucz z piórem w kształcie smoka i otworzyła drzwi na niski, ciemny korytarz. Potem wyszła ze Skarbcza Grobowców Atuanu, niosąc na ręku Pierścień Erreth-Akbego. Mężczyzna ruszył za nią.

Drzenie poruszyło skalnymi ścianami, podłogą i sklepieniem, zbyt niskie, wręcz niesłyszalne. Było jak odległy grzmot, jak upadek czegoś ogromnego bardzo daleko stąd.

Włosy zjeżyły jej się na głowie, bez zastanowienia, bez chwili wahania zdmuchnęła świecę w małej latarni. Z tyłu, za sobą, usłyszała jego kroki.

- Zostaw latarnie - powiedział spokojnym głosem. Stał tak blisko, że czuła jego oddech na włosach. -

W razie potrzeby będziemy mieli światło. Która godzina jest teraz na górze?

- Kiedy tu przyszedłem, północ dawno minęła.

- A więc trzeba iść.

Nie poruszył się jednak. Zrozumiała, że musi go prowadzić. Ona jedna znalazła drogę do wyjścia z Labiryntu, czekał, by iść za nią. Ruszyła pochylona, gdyż korytarz był bardzo niski. Utrzymywała równe, całkiem dobre tempo. Z niewidocznych odgałęzień tunelu czuła zimne tchnienie: ostry, wilgotny powiew pustki kryjącej się po obu stronach. Potem korytarz stał się wyższy i mogła się wyprostować.

Śzła teraz trochę wolniej. Liczyła kroki, gdyż zbliżali się do przepaści. Ged podszedł tuż za nią, szybko nogi, zważający na wszelkie jej poruszenia. Kiedy się zatrzymała, w tej samej chwili on stanął także.

- Tu jest przepaść - szepnęła. - Nie mogę znaleźć krawędzi. O, jest. Bądź ostrożny, kamienie chwieją się chyba coraz bardziej. Nie, nie, czekaj... Ten się rusza. - Odstąpiła na bezpieczną odległość, gdy kamień zdrzął jej pod stopami. Mężczyzna chwycił ją za ramię i przytrzymał. Serce biło jej mocno. - Krawędź nie jest bezpieczna. Kamienie się obluzowały.

- Zrobię trochę światła i obejrzę. Może właściwe słowo zdoła je związać. Nie martw się, malenka.

Pomyślała, że to dziwne: nazywał ją tak samo, jak Manan. A kiedy na końcu swej laski zapalił malenka iskierkę, podobną do drzazgi próchna albo gwiazdy za mgłą, i wszedł na wąską dróżkę obok czarnej otchłani, zobaczyła jakiś kształt wylaniający się z ciemności. Wiedziała wtedy, że to Manan. Głos zamarł jej w krtani, jakby ściśniętej petlą. Nie potrafiła krzyknąć.

Kiedy Manan wyciągał ręce, by zepchnąć Geda z niepewnej półki w przepaść, ten odwrócił głowę, dostrzegł go i z krzykiem zaskoczenia, a może wściekłości, wyciągnął rękę w jego stronę. Na ów krzyk prosto w twarz eunucha rozbłysło światło, białe i nie do zniesienia. Manan uniósł dłoń, by osłonić oczy, rozpaczliwie próbował jeszcze pochwycić Geda, chybił i runął w dół.

Nie krzyczał, gdy spadał. Z czarnej otchłani nie doleciał ani jego głos, ani dźwięk uderzającego o dno ciała. Żaden odgłos oznaczający śmierć, nic. Ged i Tenar kleczeli nieruchomo niebezpiecznie blisko brzegu, tuż przy krawędzi. Nasłuchiwali, nie słyszeli niczego.

Światło zmieniło się w ledwie widoczny szary punkcik.

- Chodź - powiedział Ged wyciągając rękę. Chwyciła ją. Trzema szybkimi krokami przeprowadził ją nad przepaścią i zgasił światło. Znowu ruszyła przodem. Była oszłamiona, nie myślała o niczym. Dopiero po pewnym czasie zastanowiła się: teraz w prawo czy w lewo?

Zatrzymała się.

- Co się stało? - zapytał cicho, przystając kilka kroków za nią.

- Zgubiłam się. Zapaliłam światło.

- Zgubiłaś?

- Ja... straciłam rachubę zakrętów.

- Ja liczyłem - powiedział podchodząc bliżej. - Zakręt w lewo zaraz za przepascią, potem w prawo i jeszcze raz w prawo.

- Więc następny znowu będzie w prawo - stwierdziła automatycznie, lecz nie ruszyła się z miejsca. - Zapal światło.

- Światło nie wskaże nam drogi, Tenar.

- Nic jej nie wskaże. Jesteśmy zgubieni!

Martwa cisza zamknęła w sobie i pochłonęła jej szept. Poczuli ruch tuż obok siebie, w lodowatej czerni. Ged odszukał i ujął jej dłoń.

- Idź, Tenar. Na następnym zakrecie w prawo.

- Zapal światło - poprosiła. - Tunele są takie kręte.

- Nie mogę. Nie mogę tracić siły. Tenar, oni są... Oni wiedzą, że opuściliśmy Skarbiec. Wiedzą, że jesteśmy za przepascią. Szukają nas, szukają naszej woli, naszego ducha, chcą go stłumić i pochłonąć. Muszę go podtrzymywać, na to zużywam całą swoją moc. Z twoją pomocą muszę ich powstrzymać. Musimy iść dalej.

- Stąd nie ma wyjścia - odpowiedziała, lecz zrobiła krok do przodu, potem następny, z wahaniem, jakby za każdym razem pod jej stopami otwierała się pustka. Czuli na ręce jego dłoń, ciepłą i silną. Szli naprzód.

Po bardzo długim, zdawało się, czasie doszli do schodów. Stopnie niewiele szersze od naciec w skale nigdy przedtem nie wydawały się tak strome. Pokonali je jednak, a potem ruszyli szybciej, gdyż pamiętała, że w tym kolistym korytarzu na długim odcinku nie ma żadnych rozgałęzień. Po chwili palce, dotykające ściany po lewej stronie, natrafiły na otwór - wylot korytarza biegnącego w lewo.

- Tutaj - szepnęła.

On jednak jakby próbował ją powstrzymać, jakby coś w jej ruchach budziło wątpliwości.

- Nie - szepnęła zmieszana. - Nie ten. To następny zakręt w lewo. Nie wiem. Nie potrafię. Stąd nie ma wyjścia.

- Idziemy do Malowanej Komnaty - odezwał się z ciemności jego spokojny głos. - Jak tam trafić?

- Następny zakręt w lewo.

Prowadziła. Za jednym ze ślepych korytarzy zatoczyli długi łuk, aż do prawego odgałęzienia wiodącego do Malowanej Komnaty.

- Prosto - szepnęła.

Orientacja w ciemności była teraz łatwiejsza, gdyż znalazła drogę do żelaznych wrót i setki razy przeliczała jej zakręty. Dziwny ciężar, jaki odczuwała, nie przeszkadzał, póki nie starała się myśleć. Jednak przez cały czas zbliżali się do tego, co jej ciążyło, co przytłaczało. Zmęczone nogi stawały się tak ciężkie, że

poruszając nimi raz czy dwa jęknęła z wysiłku. Idący obok mężczyzna oddychał głęboko i co chwila wstrzymywał oddech jak ktoś, kto dokonuje czynu pochłaniającego całą energię. Czasem ostrym, choć przyciszonym głosem rzucał jakieś słowo czy fragment słowa. Tak dotarli do żelaznych wrót i wtedy z nagłym przerażeniem wyciągnęła przed siebie ręce.

Wrota stały otworem.

- Predko - powiedziała i przeciągnęła przez nie czarodzieja. Potem, już po drugiej stronie, zatrzymała się.

- Dlaczego są otwarte? - spytała.

- Ponieważ twoi Władcy potrzebują twoich rąk, by je dla nich zamknęły.

- Dochodzimy do... - Jej głos zalał się.

- Do środka ciemności. Wiem. Wyszliśmy jednak z Labiryntu. Gdzie są wyjścia z Podgrobia?

- Jest tylko jedno. Drzwi, przez które tu przyszedłeś, nie otwierają się od wewnątrz. Droga prowadzi przez groty i w górę, do kłapy za Tronem. W Sali Tronu.

- Więc musimy pójść tamtędy.

- Ale ona tam jest - szepnęła. - Tam, w Podgrobiu. W grocie. Rozkopuje pusty grób. Nie przejdę obok niej, nie potrafię przejść jeszcze raz...

- Na pewno już odeszła.

- Nie mogę tam iść.

- Tenar, w tej chwili podtrzymuje sklepienie nad naszymi głowami. Podtrzymuje ściany, by nie runęły na nas, i grunt, by nie rozstał się nam pod nogami. Robię to odkąd przekroczyliśmy Otchlan, gdzie czekał na nas sługa ciemności. Jeśli ja mogę powstrzymać trzesienie ziemi, to czy ty lekasz się w mojej obecności spotkać jedną ludzką duszę? Zaufaj mi, Tenar, jak ja ci zaufałem. Chodź ze mną.

Ruszyli.

Nieskończony tunel rozszerzył się. Wyczuli przed sobą większą przestrzeń, głębszą ciemność - weszli do wielkiej groty pod Kamieniami Grobowymi. Zaczeli ją okrążyć trzymając się ściany po prawej ręce. Tenar przeszła tylko kilka kroków i stanęła.

- Co się dzieje? - szepnęła. Słowa z trudem wydobywały się z krtani.

W ogromnej, martwej czarnej bance powietrza powstał jakiś hałas, drżenie, dźwięk słyszany poprzez krew, wyczuwany przez kości. Wyrzeźbione przez czas ściany drżały i wibrowały pod jej palcami.

- Idź - meski głos był suchy, pełen napięcia. - Szybciej, Tenar.

A gdy potykając się szła dalej, wykrzyknęła w głębi swej duszy ciemnej i drżacej jak ta podziemna krypta: „Przebaczcie mi. O moi Władcy, o nie nazwani, pradawni, wybaczcie mi, wybaczcie!” Nie było odpowiedzi. Nigdy nie było odpowiedzi. Dotarli do przejścia pod Salą, wspieli się na schody, podeszli

do ostatnich stopni i do klapy. Była zamknięta, zawsze zostawiała ją zamkniętą. Nacisnęła sprężynę zamka. Bez efektu.

- Coś się stało - stwierdziła. - Jest zamknięta.

Czarodziej wyminał dziewczynę i naparł na klapy ramieniem. Nawet nie drgnęła.

- Nie jest zamknięta, ale przycisnięta czymś ciężkim.

- Możesz ją otworzyć?

- Być może. Myślę, że ona tam czeka. Czy ktoś z nią będzie?

- Doby i Uahto, może jakiś inny dozorca. Mężczyznom nie wolno tam wchodzić...

- Nie mogę równocześnie rzucać czarą otwierania, powstrzymywac ludzi, którzy tam czekają i opierać się woli ciemności - oświadczył spokojnie, rozważając sytuację. - Musimy więc spróbować drugiego wyjścia: tej bramy w skałach, przez którą tu wszedłem. Czy ona wie, że od środka nie można jej otworzyć?

- Wie. Raz dała mi spróbować.

- Mogła ją zatem pominąć. Chodźmy. Zeszła po schodach, które drżały i wibrowały, jak gdyby w głębinach pod nimi ktoś szarpał cieciewe olbrzymiego luku.

- Co to jest... te drgania?

- Chodź - odparł głosem tak pełnym siły i pewności, że posłuchała i powlokła się w dół, schodami i korytarzami, z powrotem do budzącej grozę jaskini.

U wejścia przygniótł ją ciężar strasznej, ślepej nienawiści, wielki jak ciężar samej ziemi. Skulona krzyknęła, nie wiedząc nawet, że krzyczy:

- Oni są tutaj! Są tutaj!

- A więc niech wiedzą, że i my tu jesteśmy - rzekł Ged, a z jego palców i łaski trysnęły białe promienie, zalamujące się na tysiącach diamentów w sklepieniu i w ścianach, jak światło słońca zalamuje się na morskiej fali: gloria blasku, w której pedzili na przelaj przez grotę. Ich cienie biegły ku białym ornamentom, jasniejącym szczelinom, ku pustej, rozkopanej mogile. Przebiegli przez niskie przejście, potem pochyleni wzdłuż tunelu, ona pierwsza, on tuż za nią. Skały dudniły i kołysały się. Wciąż jednak towarzyszyło im jaskrawe światło. Kiedy zobaczyła przed sobą ślepa, skalną ścianę, poprzez grzmot ziemi usłyszała jego głos, wypowiadający jedno tylko słowo. A gdy osunęła się na kolana, wyciągnął łaskę ponad jej głowę i uderzył w czerwony glaz zamkniętej bramy. Skały błysnęły białą, jakby stanęły w ogniu. I rozstały się.

Za nimi było szarzejące przed świtem niebo, na którym lśniło jeszcze kilka zimnych, białych gwiazd.

Tenar dostrzegła je, poczuła na twarzy delikatny dotyk wiatru. Nie podniosła się jednak. Pozostała skulona na kolanach, podparta na rękach, zawieszona pomiędzy ziemią a niebem.

Mężczyzna - dziwna, ciemna postać rysująca się słabo w szarym blasku przedświt - odwrócił się i ujął

jej ramie, by ją podnieść. Twarz miał czarna i wykrzywiona jak demon. Odsunęła się od niego i krzyknęła obcym, grubym głosem, jakby w jej ustach poruszał się martwy język:

- Nie! Nie! Nie dotykaj mnie... Zostaw... Odejdź! Zaczęła się czolgac: byle dalej od niego, ku rozkruszonej jamie Grobowców.

Silny uścisk jego palców osłabł.

- Na wiesz, która nosisz, Tenar, przyzywam cie! - powiedział spokojnym głosem.

W srebrnym pierścieniu na ręce dostrzegła gwiazdy i nie spuszczać z nich wzroku chwiejnie wstała. Wsunęła palce w dłoń mężczyzny. Nie mogła uciekać. Ruszyli w dół zbocza. Spomiędzy skał, z czarnego otworu, który za sobą zostawili, dobiegło długie, przeciągłe wycie, pełne nienawisci i rozpacz. Wokół osuwały się kamienie, drżała ziemia. Szli dalej, ona wciąż wpatrzona w odbicie światła gwiazd na swej ręce.

Dotarli do mrocznej kotliny na zachód od Miejsca. Zaczeli wspinac się w górę, gdy nagle kazał jej się obejrzec.

- Spójrz...

Odwróciła się i zobaczyła. Byli po drugiej stronie kotliny, na poziomie Kamieni Grobowych, dziewięciu wielkich monolitów wznoszących się nad grota diamentów i mogił. Stojące Kamienie poruszały się, kołysały i kładły powoli jak maszty okrętów. Jeden z nich zatrząsł się i jakby wznosił do góry, potem zadrział i runął. Inny upadł na niego. Za nimi kołysał się niski, czarny w żółtym blasku wschodzącego słońca, dach Sali Tronu. Wybrzuszały się sciany. Cała ta wielka masa kamieni i zaprawy zapadła się w siebie, aż wśród huku i deszczu odłamków przechyliła na bok i runęła. Powierzchnia kotliny marszczyła się i drżała, coś jakby fala przepłynęła w górę zbocza. Wśród Kamieni, odsłaniając skryta za nimi czern, rozwarła się szeroka szczelina, z której niby szary dym wznosiły się kleby kurzu. Stojące jeszcze Kamienie runęły w nią i zniknęły. Wtedy z hukiem, który zdawał się odbijać echem od samego nieba, zamknęły się czarne brzożby szczeliny. Wzgórze drgnęło raz jeszcze i nastal spokój.

Tenar odwróciła wzrok od grozy trzesienia ziemi i spojrzala na stojacego obok mezczyzne, ktorego twarzy nie widziala jeszcze w swietle dnia.

- Ty to zatrzymales - powiedziala. Po ogloszajacym wyciu i ryku ziemi jej glos byl cichy jak wiatr wsród trzciny. - Powstrzymales trzesienie ziemi, gniew ciemnosci.

- Musimy isc dalej - odparl, odwracajac sie od wschodzacego slonca i lezacych w gruzach Grobowców. - Jestem zmeczony... Zimno mi...

Potknal sie, wiec wziela go za reke. Zdolni byli jedynie wolno powlóczyc nogami. Jak dwa male pajaki na wysokim murze, z mozolem pokonali szerokie zboczce. Na wierzcholku staneli na suchym gruncie, ozloconym promieniami wschodzacego slonca i przecinanym rzadkimi pasmami cienia rzucanego przez rosnaca tu byllice. Przed nimi wznosily sie zachodnie góry ze stopami w purpurze i szczytami w zlocie. Oboje przystaneli na chwile, po czym, tracac z oczu Miejsce Grobowców, przekroczyli grzbiet i znikneli.

Rozdział jedenasty

Zachodnie góry

Tenar z całych sił wrywała się z nocnego koszmaru, z miejsc, po których chodziła tak długo, że opadło z niej ciało i widziała podwójne kości swych ramion polyskujące słabo w mroku. Otworzyła oczy i poczuła silny zapach ziół. Ogarnęło ją dziwne słodkie uczucie, rozkosz wolno i całkowicie wypełniająca umysł, aż w końcu się przeląła i Tenar usiadła wyciągając ramiona w czarnych rekawach. Rozejrzała się dookoła z wszechogarniającym zachwytem.

Był wieczór. Słońce kryło się za górami, które wyrastały wysokie i bliskie, lecz poświata rozjasniała jeszcze ziemię i niebo: nieskonczone zimowe niebo i nieskonczony, nagi, złocisty kraj szczytów i szerokich dolin. Wiatr zamarł. Panował chłód i absolutna cisza. Nic się nie poruszało. Liście niskich zarosli były wyschnięte i szare, zdzbla drobnych, wysuszonych ziół kludy jej dłoni. Niepojeta, milcząca gloria światła płonęła na każdej galazce, pomarszczonym liściu i lodyżce, na wzniesieniach i w powietrzu.

Spojrzała w lewo. Mężczyzna leżał na ziemi owinięty płaszczem, z ramieniem pod głową. Spał mocno. Jego twarz we śnie była surowa, niemal gniewna, lecz lewa dłoń spoczywała na ziemi obok małego ostu, wciąż przybranego w podarta oponczę szarego puszkę, wciąż jezacego swa żalosna osłone kołców i cierni. Człowiek i malenki pustynny oset, oset i spiaczy człowiek...

Jego moc należała do tego rodzaju i była równie wielka, jak potęga Pradawnych Sił Ziemi, to on był tym, który rozmawiał ze smokami i słowem wstrzymywał trzesienia ziemi. A teraz leżał uspiiony, a mały oset rósł przy jego dłoni. To niezwykle. Normalne życie okazało się czymś o wiele wspanialszym i bardziej zdumiewającym, niż mogła sobie wyobrazić. Przepych nieba dotknął jego zakurzonych włosów i na chwilę przemienił oset w złoto.

W miarę jak światło dnia gasło, chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy. Tenar wstała i zaczęła zbierać suche krzewy, podnosić opadłe galazki i odłamywać twarde pędy, które w swojej skali wyrosły tak sekate i masywne jak konary debów.

Zatrzymali się tutaj około południa, gdy było jeszcze ciepło. Zmęczenie nie pozwoliło im iść dalej. Kilka skarłowaciałych jałowców i zachodni stok grzbietu, z którego zeszli, dawały wystarczającą osłonę. Wypili trochę wody z manierki, położyli się i usnęli.

Pod niskimi drzewami leżały grubsze galezie. Zebrała kilka, wygrzebała niewielką jamę w zakątku między przysypanymi ziemią kamieniami, ułożyła drewno i skrzesała iskry. Wyschnięte liście i drobne galazki zajęły się od razu. Potem suche galezie rozkwitły pachnącym żywicą jasnym płomieniem. Zdawało się, że dalej od ognia jest już zupełnie ciemno, na przepastnym niebie znowu pojawiły się gwiazdy.

Trzask płomieni przebudził śpiącego. Usiadł, przetarł rekami brudną twarz, potem wstał sztywno i podszedł do ognia.

- Nie jestem pewien... - zaczął sennie.

- Wiem, ale bez ognia nie przetrwamy nocy. Jest za zimno. - A po chwili dodała: - Chyba że znasz jakieś czary, które by nas ogrzały albo ukryły płomienie...

Usiadł tuż przy ogniu i splótł ręce na kolanach.

- Brr! - Zadrzał. - Ogień jest o wiele lepszy od czarów. Stworzyłem dookoła drobna iluzję, gdyby ktoś wtedy przechodził, wydamy mu się patykami i kamieniami. Jak sądzisz, beda nas ścigać?

- Boję się tego, ale nie przypuszczam, by próbowali. Nikt prócz Kossil nie wiedział o twojej obecności. Kossil i Manana. Oboje nie żyją. Ona z pewnością była w Sali, gdy ta runęła. Czekala przy kłapie. A inni, cała reszta, myśli pewnie, że była w Sali albo przy Grobowcach, i zginęła podczas trzęsienia ziemi. - Także objęła ramionami kolana i zadrzała. - Mam nadzieję, że inne budynki ocalały. Ze wzgórza trudno było coś zobaczyć w tym kurzu. Na pewno nie wszystkie domy i świątynie są zniszczone. W Wielkim Domu sypiały dziewczęta.

- Chyba tylko Grobowce pochłonęły same siebie. Kiedy odchodziliśmy, zauważyłem złoty dach jakiegoś świątyni. Stała jeszcze. A na wzgórzu widziałem uciekających ludzi.

- Co powiedzą, co sobie pomyśla... Biedna Penthe! Pewnie zostanie teraz Najwyższą Kapłanką Boga-Króla. A przecież to ona zawsze chciała stąd uciec, nie ja. Może teraz ucieknie... - Tenar uśmiechnęła się. Wypełniała ją radość, której nie mogła przytłumić żadna myśl smutna czy ponura, ta sama radość, która odczuwała budząc się w złotym blasku. Otworzyła sakwę i wyjęła dwa małe, płaskie bochenki. Jeden podała Gedowi, w drugi wgryzła się sama. Chleb był twardy, kwasny i bardzo smaczny.

Przez chwilę przeżuwali w milczeniu.

- Jak daleko jesteśmy od morza?

- Dwa dni i dwie noce trwało, zanim tu dotarłem. Powrót zajmie nam więcej czasu.

- Jestem silna - oświadczyła.

- Jesteś. I dzielna. Ale twój towarzysz podróży jest zmęczony - odparł z uśmiechem. - I nie mamy już chleba.

- Czy znajdziemy wodę?

- Jutro, w górach.

- A czy możesz zdobyć dla nas jedzenie? - spytała niepewnie i niesmiało.

- Polowanie wymaga czasu. I broni.

- Myślałam, wiesz, że czarami...

- Mógłbym przywołać królika - mruknął, grzebiąc w ognisku krzywa galezia jalowca. - Wszędzie wokół nas króliki wychodzą teraz ze swoich jam. Wieczór to ich pora. Mógłbym zawołać któregoś jego imieniem i przyszedłby. Ale czy potrafiłabys zabić, obedrzeć ze skóry i ugotować królika, którego przywołałaś w ten sposób? Mnie wydaje się to naduzyciem zaufania.

- Owszem. Myślałam, że mógłbys po prostu...

- Sprowadzić kolacje? - dokończył. - Och, mógłbym. Na złotych półmiskach, jeśli masz ochotę. Ale to iluzja, a jedząc iluzję człowiek kończy bardziej głodny, niż kiedy zaczynał. To równie posiłne jak jedzenie własnych słów. - Widziała, jak w mroku błysnęły jego białe zęby.

- Dziwna jest twoja magia - stwierdziła z godnością, należna w rozmowie między równymi sobie, gdy Kaplanka przemawia do Maga. - Można odnieść wrażenie, że nadaje się tylko do wielkich spraw.

Dłozył drewna do ognia i płomień rozbłysły pachnacymi jałowcem fajerwerkami iskier i trzasków.

- Naprawdę potrafisz przywołać królika? - spytała nagle Tenar.

- Chcesz, żebym to zrobił?

Kiwnęła głową.

Odwrócił się plecami do ognia i zawołał cicho w niezmierny, rozświetlony gwiazdami mrok:

-Kebbo... O kebbo...

Cisza. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu. Ale po chwili, na samym skraju kregu światła ogniska, zobaczyła: okrągłe oko jak czarny kamyczek, tuż przy ziemi. Krzywizna kosmatego grzbietu, ucho, długie, uniesione, czujne.

Ged przemówił znowu. Ucho drgnęło, nagle z cienia wynurzyło się drugie. Tenar przez moment widziała zwierzątko w całosci, gdy odwracało się, by cichym, zgrabnym susem powrócić do swoich nocnych spraw. - Ojej - zawołała wypuszczając oddech. - Jak słicznie! Czyja też mogłabym to zrobić? - zainteresowała się.

- Cóż...

- To pewnie sekret - domysliła się.

- Sekretem jest *imie* królika. A przynajmniej nie należy się nim posługiwać bez powodu. Ale moc przywoływania nie jest tajemnicą. Raczej darem czy może talentem.

- Aha. I ty ją posiadasz. Wiem! - W jej głosie brzmiała pasja, źle skrywana pod udawaną ironię.

Ged spojrział na nią, ale nie odpowiedział.

Naprawdę był jeszcze bardzo zmęczony starciem z Bezimiennymi, zużył swe siły w dygocących tunelach. Zwyciężył wprawdzie, ale nie miał ochoty na radość. Po chwili zwinął się znowu jak najbliżej ogniska i zasnął.

Tenar dokładała do ognia i wpatrywała się w lśnienie jasnijacych od horyzontu po horyzont zimowych gwiazdozbiorów. Wreszcie jej głowa stała się ciężka od wspaniałości nieba i ciszy. Zapadła w drzemkę.

Zbudzili się oboje. Ogień zgasł. Gwiazdy, na które patrzyła, lśniły teraz ponad szczytami gór, a nowe wznosiły się od wschodu. To chłód ich obudził, suche zimno pustynnej nocy, wiatr niby lodowe ostrze. Z południowego zachodu nadciągała zasłona chmur.

Drewno wypaliło się niemal do końca.

- Chodźmy - rzekł Ged. - Wkrótce będzie świtac.

Szczekał zębami tak, że z trudem go rozumiała. Ruszyli, wspinając się długim zboczem ku zachodowi. Krzaki i kamienie były czarne w świetle gwiazd i szło się łatwo jak w dzień. Po chwili, rozgrzani marszem, przestali dygotac. Szli z większą swobodą. O wschodzie słońca staneli u stóp gór, które do tej chwili niby mur zamykały życie Tenar.

Zatrzymali się w zagajniku drzew, których złote, drzące liście wciąż lgnęły do galezi. Ged powiedział, że to osiki. Dotąd znalazła tylko jałowce i słabowite topole rosnące przy źródłach rzeki, i jeszcze czterdzieści jabłoni z sadu Miejsca. Jakiś ptaszek wśród galezi wołał cienko: dii, dii. Pod drzewami płynął wąski, lecz szybki strumyk, szumiący, przelewający się po kamieniach i progach zbyt szybko, by zamarznąć. Tenar niemal się go bała. Przyzwyczaiła się do pustyni, gdzie wszystko było wielkie i poruszało się wolno: leniwe rzeki, cienie chmur, krazące w górze sepy.

Na śniadanie podzielili między siebie resztki chleba i ostatni, zaschnięty kawałek sera. Odpoczęli chwilę i ruszyli dalej.

Wieczorem byli już wysoko. Chmury zasnuły niebo, wiał wiatr i było zimno. Na noc zatrzymali się w dolinie innego strumienia, gdzie było dość drzewa. Tym razem rozpalili duże ognisko, przy którym mogli się grzać aż do rana.

Tenar była szczęśliwa. Znalazła zapasy wiewiórki, odsłonięte upadkiem drzewa, w którym była dziupla: kilka funtów orzechów o gładkich skorupkach, które Ged - nie znając kargijskiego słowa - nazywał *ubir*. Rozbijała je na płaskim kamieniu i podawała mu co drugi.

- Chciałabym, żebyśmy tu zostali - oznajmiła spoglądając na kreta, pogrążona w mroku kotłowni. - Podoba mi się tutaj.

- To dobre miejsce - przyznał.

- Ludzie nigdy by tu nie przyszli.

- Nieczęsto... Urodziłem się w górach - powiedział. - Na Górze Gontu. Miniemy ją, płynąc do Havnoru, jeśli wybierzemy szlak północny. Zima jest piękna. Wyrasta z morza fala biała, niby wielka fala. Moja wioska leżała nad takim właśnie strumieniem. A ty, Tenar, gdzie się urodziłaś?

- W północnej części Atuanu, w Entat. Tak sądzę. Nie pamiętam.

- Byłaś taka mała, kiedy cie zabrali?

- Miałam pięć lat. Pamiętam ogień na kominku i... i nic więcej. Potarł dłoń szcęką, na której pojawiły się wprawdzie zaczątki rzadkiej brody, lecz przynajmniej była czysta, mimo zimna oboje myli się w górskich potokach. Patrzył na nią w zamysleniu i z powagą. Przyglądała mu się wiedząc, że nigdy nie zdołałaby wypowiedzieć tego, co miała w sercu - tutaj, gdy siedziała obok niego w blasku ogniska, o zmierzchu wśród gór.

- Co będziesz robić w Havnorze? - spytał, zwracając się do ognia, nie do niej. - Jesteś naprawdę odrodzona, bardziej niż zdawałem sobie sprawę.

Skinela głowa z lekkim uśmiechem. Czula się jak narodzona na nowo.

- Powinnas przynajmniej nauczyć się języka.

- Twojego języka?

- Tak.

- Chciałabym.

- Dobrze. To jest *kabat* - rzucił jej na kolana mały kamyczek.

- *Kabat*. Czy to w smoczej mowie?

- Nie, nie. Przecież nie chcesz rzucać zakleć, tylko rozmawiać z ludźmi.

- Ale jak się nazywa kamyczek w mowie smoków?

- *Tolk* - odparł. - Ale nie chce z ciebie zrobić początkującego czarownika. Uczę cię mowy, jakiej używają w Archipelagu, w Wewnętrznych Krainach. Ja też musiałem poznać twój język, zanim tu przybyłem.

- W dziwny sposób go używasz.

- Na pewno. Teraz *arkemmi kabat* - i wyciągnął rękę, by podać mu kamyczek.

- Czy muszę płynąć do Havnoru?

- Gdzie jeszcze mogłabyś pójść, Tenar?

Zawahała się.

- Havnor to piękne miasto - zapewnił. - A ty przyniesiesz mi Pierścien, znak pokoju. Powitają cię tam jak księżniczkę. Bada cię szanować z wdzięczności za wspaniały dar, jaki im ofiarujesz, bada cię witac i gościć. Mieszkają tam ludzie szlachetni i wielkoduszni. Dla twojej jasnej skóry nazwa cię Biała Pania i bada kochać jeszcze bardziej, ponieważ jesteś tak młoda. I tak piękna. Dostaniesz setki sukni podobnych do tej, która ci pokazałem w iluzji, tyle tylko że prawdziwych. Czeka cię szacunek, wdzięczność i miłość. Ciebie, która znalazła jedynie samotność, zazdrość i mrok.

- Był przecież Manan - zaprotestowała i wargi jej zadrzały. - Kochał mnie i zawsze był dla mnie dobry. Chronił mnie najlepiej jak potrafił, a ja go zabiłam, spadł w czarna otchlan. Nie chce płynąć do Havnoru. Ani nigdzie. Chce zostać tutaj.

- Tutaj? Na Atuanie?

- W górach. Tu, gdzie jesteśmy.

- Tenar - powiedział swym poważnym, spokojnym głosem. - Zostaniemy, jeśli chcesz. Nie mam noża, a jeśli spadnie śnieg, będzie ciężko. Ale dopóki można znaleźć coś do jedzenia...

- Nie. Wiem, że nie możemy zostać. Jestem głupia. - Tenar wstała, rozrzucając skorupki orzechów.

Dolozyła drewno do ogniska i stanęła wyprostowana, szczupła w swej podartej, brudnej szacie i czarnym płaszczu. - Wszystko, co wiem, na nic mi się już nie przyda - stwierdziła. - A niczego innego nie potrafię. Spróbuję się nauczyć.

Ged odwrócił głowę i skrzywił się, jakby z bólu.

Następnego dnia przekroczyli grzbiet górskiego pasma. Wiatr dał mocno, niosąc klujące zimnem, oslepiające płatki śniegu. Dopiero gdy zeszli w dół po przeciwnej stronie, z dala od śnieżnych chmur wokół szczytów, Tenar po raz pierwszy zobaczyła ziemię poza ścianą gór. Była zielona zielenią sosen, zielenią trawiastych równin, obsianych pól i ugorów. Nawet w środku zimy, gdy gaszcze stały nagie, a w lesie królowały szare galezie, była to kraina zielona, łagodna i przyjazna. Przyglądali się jej z wysoka, stojąc na stromym, skalistym zboczu. Ged bez słowa wyciągnął rękę na zachód, gdzie za klebowiskiem chmur opadało słońce. Nie było go widać, lecz na horyzoncie dostrzegła jakiś blask, podobny trochę do oslepiającego lśnienia kryształowych ścian Podgrobia - Jakby radosne migotanie na skraju świata.

- Co to jest? - spytała dziewczyna, a on odpowiedział:

- Morze.

Wkrótce miała zobaczyć je z bliska, już nie tak piękne, lecz jak na jej oczekiwania wystarczająco wspaniałe.

Dotarli do drogi i poszli wzdłuż niej. Doprowadziła ich do wioski - dziesięciu czy dwunastu chat stojących przy szlaku. Tenar z lekkim spojrzała na swego towarzysza, gdyż zdała sobie sprawę, że wchodzi pomiędzy ludzi. Spojrzała i nie dostrzegła go. Obok niej, w ubraniu Geda, w jego butach, jego krokiem sunął inny mężczyzna. Nie miał brody, a jego skóra była biała. Kiedy na nią popatrzył, zauważyła, że ma niebieskie oczy. Mrugnął porozumiewawczo.

- Uda się ich oszukać? - spytał. - Co powiesz na swoje ubranie?

Spojrzała na siebie. Miała na sobie brązową spódnicę i bluzę wiesniaczki, a do tego szeroki, czerwony wełniany szal.

- Och - zawołała zdumiona. - Ty jesteś... jesteś Ged! I kiedy wypowiedziała jego imię, zobaczyła go wyraźnie: ciemna, poznaczona bliznami, znajoma twarz, ciemne oczy... A jednak obok stał obcy o skórze jak mleko.

- Nie wymawiaj przy ludziach mego prawdziwego imienia. Ja nie wypowiem twojego. Jesteśmy bratem i siostrą. Przybywamy z Tenacbah. Kiedy zauważymy jakąś zycziwą twarz, poproszę chyba o kolację.

Wzjął ją za rękę i razem weszli do wioski.

Opuscili ją rankiem z pełnymi brzuchami i wypoczęci po nocy spędzonej na stryszku.

- Czy magowie często zebrza? - zapytała Tenar.

Droga wiodła między zielonymi łąkami, gdzie pasły się kozy i małe laciate krowy.

- Czemu pytasz?

- Zdawało mi się, że znasz się na zebraniu. Prawde mówiac, szło ci to całkiem dobrze.

- Właściwie tak. Jeśli spojrzec na to od tej strony, to zebrałem przez całe życie. Magowie nie posiadają zbyt wiele. Podczas wędrowki praktycznie nic, prócz swojej łaski i ubrania. Większość ludzi przyjmuje ich chętnie i karmi. Zwykle dają coś w zamian.

- Co?

- No, na przykład ta kobieta we wsi. Wyleczyłem jej kozy.

- A co im było?

- Obie miały zakazane wymiona. Pasalem kozy, gdy byłem małym chłopcem.

- Powiedziałeś jej, że je wyleczyłeś?

- Nie. Jak mógłbym? I po co?

- Widzę - stwierdziła po chwili milczenia - że twoja magia nadaje się nie tylko do rzeczy wielkich.

- Gościnnosc... - odparł - uprzejmosc okazana obcemu to rzecz wielka. Naturalnie, wystarczyłoby podziękowac. Ale zał mi było kóz.

Po południu dotarli do sporego miasteczka. Zbudowane było z cegły i otoczone murem na sposób kargijski, z przewieszonymi blankami, wiezami strażniczymi w czterech rogach i jedna tylko brama, przez którą poganiacze przepędzali duże stado owiec. Czerwone dachy stu lub więcej domów wystawały zza murów z żółtawej cegły. Przy bramie stało dwóch strażników w hełmach z czerwonymi pióropuszcami sług Boga-Króla. Ludzi w takich hełmach Tenar widywała mniej więcej raz do roku, gdy eskortowali niewolników lub złoto składane w darze dla świątyni Boga-Króla. Gdy przechodzili obok zewnętrznych murów, powiedziała o tym Godowi.

- Ja też ich widziałem, jako chłopiec - odparł. - Przybyli do mojej wsi, by ją splądrować. Odpędzono ich. Potem była bitwa pod Armouth, wielu ludzi zginęło, podobno setki. Cóż, może teraz, gdy Pierscien jest cały i Zaginiona Runa odtworzona, nie będzie już napadów i walk między Imperium Kargadu a Wewnętrznymi Krainami.

- Byłoby głupio, gdyby takie rzeczy ciągle się powtarzały - stwierdziła Tenar. - Zresztą, co mógłby zrobić Bóg-Król z taką masą niewolników?

Jej towarzysz zastanawiał się przez chwilę.

- To znaczy, gdyby Wyspy Kargadu podbiły Archipelag?

Przytaknęła.

- Nie sądzę, by to mogło się zdarzyć.

- Ale popatrz tylko, jak potężne jest Imperium, jak wielkie to miasto ze swymi murami i wszystkimi ludźmi. Jak twoje ziemie mogłyby się obronić, gdyby zostały zaatakowane?

- To nie jest bardzo wielkie miasto - stwierdził ostrożnie i delikatnie. - Mnie też wydalo się olbrzymie wtedy, kiedy dopiero co zszedłem ze swojej góry. Ale w Ziemiomorzu jest wiele, wiele miast, przy których to jest zaledwie miejscina. Jest wiele, bardzo wiele wysp. Zobaczysz je, Tenar.

Nie odpowiadała. Kroczyła sztywno z zacisnietymi ustami.

- To wspaniały widok, gdy nowe wyspy wynurzają się z morza, a twoja łódź zbliża się do nich. Pola i lasy, miasta z portami i pałacami, targi, gdzie sprzedają towary z całego świata.

Skinela głowa. Wiedziała, że chce jej dodać odwagi, ale cała jej radość pozostała w górach, w tamtej cieniejszej dolince nad strumieniem. Teraz czuła lek narastający z każdą chwilą. Wszystko, co ją czekało, było nieznane. Znała tylko pustynie i Grobowce. Co jej z tego przyjdzie? Pamiętała zakrety w zrujnowanym Labiryntie, tance przed ołtarzem, który runął. Nie wiedziała nic o lesie, miastach, o sercach mężczyzn.

- Czy zostaniesz tam ze mną? - spytała nagle. Nie patrzyła na niego. Nie chciała go widzieć w iluzorycznym przebraniu wiesniaka. Lecz jego głos pozostał taki sam jak wtedy, gdy odzywał się do niej z ciemności Labiryntu.

Odpowiedział nie od razu.

- Tenar, idę tam, gdzie zostałem posłany. Podążam za głosem, który mnie wzywa. Nie pozwolił mi jeszcze pozostać na długo w jednym miejscu. Rozumiesz? Robię to, co muszę robić. Tam, gdzie idę, muszę iść sam. Zostanę przy tobie w Havnorze, dopóki będę ci potrzebny. Jeśli potem będziesz mnie kiedyś potrzebować, zwołaj. Przybędę. Chocbym miał wstać z grobu, przyjdę na twoje wezwanie, Tenar. Ale nie mogę z tobą zostać.

Milczała.

- Niedługo przestanę ci być potrzebny - stwierdził po chwili. - Będziesz tam bardzo szczęśliwa.

Kiwnęła głową, pogodzona z losem i milczącą.

Ramię przy ramieniu szli w stronę morza.

Rozdział dwunasty

Podróż

Ukrył łódź w jaskini na brzegu skalistego cypla, zwanego Chmurnym Przyładkiem przez miejscowych, z których jeden dał im na kolację miszkę duszonej ryby. W ostatnich blaskach szarego dnia zeszedli urwiskiem na sam brzeg. Jaskinia była wąska szczelina sięgająca jakichś trzydziestu stóp w głąb skały,

wysypana piaskiem - wilgotnym, gdyż dno leżało tuż powyżej poziomu przyplywu. Wylot jaskini był widoczny z morza i Ged uznał, że nie powinni palić ognia, by rybacy w swoich małych łódkach nie dostrzegli go i nie zainteresowali się nimi. Leżeli więc na piasku, miękkim pod palcami, lecz dla zmęczonego ciała twardym jak kamień. Tenar słuchała, jak morze huczy i pluszcze wśród kamieni, ledwie o kilka sznów od wylotu jaskini, jak grzmi wzdłuż plaży ciągnącej się całe mile na wschód. Raz za razem powtarzały się te same, a jednak nie takie same odgłosy. Morze nigdy nie odpoczywało. U wszystkich brzegów wszystkich wysp na całym świecie wznosiła się niespokojna fala, nigdy nie ustająca, zawsze w ruchu. Pustynia i góry trwały nieruchomo, milczące. Morze zaś mówiło bez przerwy, lecz jego język był dla niej obcy. Nie rozumiała go.

Przebudziła się z niespokojnego snu o pierwszym szarym brzasku dnia i zobaczyła, że czarownik wychodzi z jaskini. Patrzyła, jak idzie na brzeg: bosy, w płaszczu spiętym pasem, pomiędzy głazy porośnięte czarnym włosem mchu. Szukał czegoś. Po chwili wrócił i stanął w wejściu, rzucając cień na jaskinię.

- Masz - powiedział, podając jej garść mokrych, obrzydliwych przedmiotów podobnych do purpurowych kamieni o pomarańczowych wargach.

- Co to jest?

- Malże, ze skal. A te dwie to ostrygi, jeszcze lepsze. Popatrz, trzeba tak... - Podważył muszle małym sztylblem z jej kółka na klucze i zjadł pomarańczowego malża w sosie z morskiej wody.

- Nawet ich nie gotujesz? Zjadles go żywcem!

Nie mogła patrzeć, jak - zakłopotany, lecz nie zniechęcony - Jedna po drugiej otwiera muszle i wyjada mieczaki.

Kiedy skończył, wszedł do grotty i zajął się łodzią. Leżała dziobem na zewnątrz, podtrzymywana przez kilka wyrzuconych przez fale kłoców. Tenar przyjrzała się jej poprzedniego dnia, nieufnie i bez zrozumienia. Łódź była o wiele większa, niż jej zdaniem być powinna, długości potrójnego wzrostu Tenar. Pełno w niej było przedmiotów, o których zastosowaniu dziewczyna nie miała pojęcia. I wyglądała groźnie. Po obu stronach przedniej części (nazywał ją dziobem) wymalowano oko i spiac niespokojnie cały czas miała wrażenie, że łódź na nią patrzy.

Ged poszperał wewnątrz i po chwili wrócił niosąc paczkę twardego chleba, zapakowanego szczelnie, by nie zamókł. Podał jej spory kawałek.

- Nie jestem głodna.

Spojrzał na jej ponurą twarz.

Odłożył chleb, zawijając go równie dokładnie, po czym siadł u wylotu jaskini.

- Mamy jeszcze dwie godziny do najwyższego przyplywu - stwierdził. - Potem możemy odbijać. Nie wyspałaś się w nocy, więc może teraz się zdrzemniesz?

- Nie jestem spiaca.

Nie odpowiedział. Siedział bokiem do niej, ze skrzyżowanymi nogami pod ciemnym łukiem skały, za nim było łsniające kolysanie i ruch morza, które obserwowała z głębi jaskini. Nie poruszał się. Był jak same

kamienie. Spokój promieniował od niego niby koliste fale od kamyka rzuconego w wodę. Jego milczenie wydawało się nie zwyczajnym brakiem słów, lecz czymś, co istnieje samo w sobie, jak milczenie pustyni.

Po długim czasie Tenar wstała i zbliżyła się do wylotu jaskini. Nie drgnął nawet. Spojrzała mu w twarz. Była jak odlana z miedzi: sztywna, ciemne oczy otwarte, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zacisnięte usta.

Był równie nieosiągalny jak morze.

Gdzie teraz przebywał, która droga podał jego duch? Nigdy nie będzie mogła z nim wyruszyć.

A jednak zmusił ją, by za nim poszła. Zawołał ją jej imieniem i wybiegła do jego reki, jak ten dziki pustynny królik, który wyszedł z ciemności. A teraz miał już Pierscien, Grobowce leżały w gruzach, a ich kapłanka została przeklęta na wieki. Teraz już jej nie potrzebował i odszedł tam, gdzie nie może za nim podążać. Oszukał ją i zostawił samą.

Wyciągnęła rękę i szybkim ruchem wysunęła zza jego pasa mały stalowy sztylet, który mu dała. Mezczyzna pozostał nieruchomy, niby okryty szatami posąg.

Ostry z jednej strony sztylet miał tylko cztery cale długości, był miniatura noża ofiarnego. Stanowił część stroju Kapłanki Grobowców i musiała go nosić razem z kółkiem na klucze, pasem z konskiego włosia i innymi przedmiotami, nikt nie wiedział, do czego służą niektóre z nich. Używała sztyletu wyłącznie podczas jednego z tańców, jakie wykonywała przed Tronem o nowiu: podrzucała go do góry i chwyciła. Lubiła ten taniec, dziki rytm wybijany stopami o podłogę. Z początku kaleczyła sobie palce i dopiero po pewnym czasie nauczyła się chwycić zawsze za rekojesc. Niewielka klinga była dość ostra, by przeciąć ciało aż do kości albo rozciąć arterie szyjne. Może jeszcze posłużyć swym Władcom, choć ją zdradzili i porzucili. Pokierują jej dłoń w tym ostatnim dziele ciemności. Przyjma ofiarę.

Stanała przed mezczyzną, unosząc sztylet do wysokości biodra. Wtedy on wolno podniósł głowę i spojrzał. Wyglądał jak ktoś, kto wrócił z daleka i widział rzeczy straszne. Jego twarz pozostała spokojna, choć malował się na niej ból. Kiedy patrzył, zdawało się, że widzi ją coraz wyraźniej i z wolna odzyskuje świadomość.

- Tenar - powiedział w końcu, jakby na powitanie, wyciągnął rękę i dotknął obreczy rzeźbionego srebra na jej nadgarstku. Zrobił to, jakby chciał się uspokoić... Ufnie. Jakby nie widział sztyletu w jej dłoni. Potem odwrócił wzrok ku falom kołyszącym się między skałami w dole.

- Czas nadszedł - rzekł z wysiłkiem. - Pora ruszać.

Jego głos sprawił, że gniew ją opuścił. Czuli już tylko lek.

- Zostawiasz ich, Tenar. Odchodzisz na wolność - powiedział i wstał z nieoczekiwanym wigorem. Przeciągnął się i spisał płaszcz pasem. - Pomozesz mi przy łodzi. Stoi na kłocach, posłuzą za rolki. O tak, pchaj... Jeszcze raz. Już, już, wystarczy. Bądź gotowa wskoczyć do środka, kiedy tylko zawołam. Nie jest łatwo z tego miejsca spuścić łódź na wodę. Teraz uwaga! Wskakuj! - Skoczył zaraz za nią, przytrzymał, by nie straciła równowagi i usadził na dnie. Sam stanął przy wiosłach i mocnymi pchnięciami wyprowadził łódź na grzbiecie fali odpływu ponad skałami poza ryczący, spieniony pas wód, na morze.

Gdy znaleźli się daleko od przybrzeżnej pływicy, wciągnął wiosła i postawił maszt. Teraz, gdy Tenar była w środku, a morze dookoła, łódź wydawała się bardzo mała.

Ged wciągnął żagiel. Osprzetu używano najwyraźniej od dawna i w ciężkich warunkach, choć czerwony

zagięł polatano z wielką starannością, a łódź była czysta i oporzadzana. Przypominała swego pana: podróżowała daleko i po trudnych wodach.

- No... - odezwał się Ged. - Odplynelismy, odeszlismy, nie ma nas tam, Tenar. Czujesz to?

Czuła. Mroczna dłoń zwolniła uchwyt, w którym wieszała ją przez całe życie. Nie odczuwała jednak takiej radości jak wtedy, w górach. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała, a jej policzki były mokre i słone. Plakała nad latami, które zmarnowała służąc bezużytecznemu złu. Plakała z bólu, ponieważ była wolna.

Zaczynała dopiero poznawać ciężar swobody. Wolność to wielkie brzemie, niezwykle i trudne do zrozumienia dla ducha. Nie jest łatwa. Nie jest darem otrzymanym, lecz dokonaniem wyborem. I ten wybór wcale nie jest prosty. Droga wiedzie w górę, do światła, lecz zmęczony podróżnik może nigdy nie dotrzeć do jej końca.

Ged pozwolił jej płakać i nie próbował pocieszać. Kiedy lzy obeschły, siedziała patrząc na niski błękitny ład Atuanu. Wtedy także się nie odezwał. Twarz miał czujna i surowa, jakby był tu sam, pilnował zagłą i steru, poruszał się szybko i cicho, i wciąż patrzył przed siebie.

Kiedy minęło południe, wskazał dłonią trochę na prawo od słońca, ku któremu teraz płynęli.

- To jest Karego-At - oznajmił.

Tenar podążyła wzrokiem za jego ręką. Dostrzegła w dali wzgórza falujące niczym chmury na wielkiej wyspie Boga-Króla. Stracili już z oczu Atuan. Czuła dziwny ciężar na sercu. Słońce biło jej w oczy jak złoty młot.

Na kolację zjedli suchy chleb i suszona wędzona ryba, którą Tenar wydała się obrzydliwa. Wode pili z beczulki, Ged napelnił ją poprzedniego wieczoru ze strumyka na Chmurnym Przylądku. Zimowa, chłodna noc zapadła szybko. Daleko na północy widzieli drobne światełka, żółte ogniki w odległych nadbrzeżnych wioskach Karego-At. Zniknęły we mgle, jaka uniosła się nad wodą. Pozostali sami wśród bezgwiezdnej nocy nad głębiną wód.

Skuliła się na rufie, Ged leżał na dziobie, mając za poduszkę beczulkę z wodą. Łódź płynęła spokojnie, niewielkie fale uderzały o burty, choć wiatr stał się tylko lekkim tchnieniem z południa.

Tutaj, z dala od skalistych brzegów, morze także ucichło, tylko dotykając łodzi szmeralo delikatnie.

- Jeśli wiatr wieje z południa - spytała Tenar szeptem, gdyż morze także szeptało - czy łódź nie powinna płynąć na północ?

- Tak, chyba zebysmy halsowali. Ale wypelnilem zagięł magicznym wiatrem wiejącym na zachód. Jutro rano powinniśmy opuścić wody Kargadu. Wtedy pozwolę jej płynąć ze zwykłym wiatrem.

- Czy ona sama steruje?

- Tak - odparł z powagą Ged. - Jeśli otrzyma właściwe instrukcje. Nie potrzebuje ich wiele. Była już na otwartym morzu, poza najdalszą wyspą Wschodniej Rubieży, była na Selidorze, gdzie zginął Erreth-Akbe, na najdalszym Zachodzie. To mądra, piękna łódź, moje „Bystre oko”. Możesz jej zaufać.

Dziewczyna leżała nieruchomo w popychanej magia łodzi i wpatrywała się w ciemność ponad

niezmierną głębina. Przez całe życie wpatrywała się w ciemność, lecz ta noc na oceanie była potężniejsza. Nie miała kresu. Nie miała granic. Siegała dalej niż gwiazdy. Nie kierowały nią żadne ziemskie Potęgi. Istniała przed światłem i będzie istniała po nim. Trwała, zanim powstało życie i będzie trwała, gdy ono się skończy. Była ponad wszelkie zło.

Tenar przemówiła z mroku:

- Ta mała wysepka, gdzie dano ci talizman... Czy leży na tym morzu?

- Tak - odpowiedział z mroku jego głos. - Gdzieś. Może na południu. Nie mogłem jej odnaleźć.

- Wiem, kim była kobieta, która dała ci Pierscien.

- Wiesz?

- Znam te historie. To część wiedzy Pierwszej Kapłanki. Thar mi ją opowiedziała, najpierw przy Kossil, a potem, dokładniej, kiedy jej nie było. Wtedy rozmawiała ze mną ostatni raz, potem umarła. W Hupun był szlachetny ród, walczący przeciwko władzy Najwyższych Kapłanów w Awabath. Założycielem rodu był król Thoreg, a wśród skarbów, jakie pozostawił spadkobiercom, znajdowała się połowa pierścienia, którą podarował mu Erreth-Akbe.

- Rzeczywiście, tak właśnie jest powiedziane w „Czynach Erreth-Akbego”. Mówi się tam... W twoim języku mówi się: „Kiedy Pierscien został złamany, połowa została w rękach Najwyższego Kapłana Intathina, połowa w dłoni bohatera. Najwyższy Kapłan posłał odłamane części Bezimiennym, Pradawnym tej Ziemi, na Atuan, gdzie zniknęła w ciemności, w zapomnianych miejscach. Lecz Erreth-Akbe włożył swoją część w ręce Tiarath, córki madrego króla, mówiąc: Niech pozostanie w jasności, w posagu panienskim, niech pozostanie w tej ziemi, póki znów się nie połączą. Tak przemówił bohater, zanim odpłynął na zachód”.

- Musiał więc przez wszystkie te lata przechodzić z córki na córkę tego rodu. Nie zaginał, jak sadzono. Lecz potem Najwyżsi Kapłani zmienili się w Kapłanów-Krółów, a Kapłani-Królowie stworzyli Imperium i zaczęli nazywać się Bogami-Krółami... A przez cały ten czas ród Thorega stawał się coraz biedniejszy i słabszy. W końcu, jak opowiadała mi Thar, pozostało tylko dwoje potomków Thorega, chłopiec i dziewczynka. Bóg-Krół w Awabath był ojcem tego, który rządzi dzisiaj. Kazał wykręcić dzieci z palacu w Hupun. Lekal się, gdyż przepowiednia mówiła, że jeden ze spadkobierców Thorega spowoduje upadek Imperium. Porwał dzieci i przewiózł je na samotną wyspę gdzieś na środku morza. Tam je porzucił. Zostawił im tylko ubrania, które nosiły, i odrobinę żywności. Bał się je zabić czy to nożem, czy przez uduszenie, czy trucizną, pochodziły z królewskiego rodu, a królobójstwo ściągają kłatwę nawet na bogów. Byli to Ensar i Anthil. I Anthil dała ci połowę złamanego Pierscienia.

Milczał przez długą chwilę.

- I tak historia staje się całością - powiedział w końcu. - Tak jak stał się całością Pierscien. Ale to okrutna historia, Tenar. Małe dzieci, ta wysepka, stary mężczyzna i kobieta, których widziałem... Prawie nie znali ludzkiej mowy.

- Chcę cię o coś prosić.

- Proszę.

- Nie chcę płynąć do Wewnętrznych Krain, do Havnoru. Nie tam jest moje miejsce, nie w wielkich

miastach wśród obcych ludzi. W żadnym kraju nie ma dla mnie miejsca. Zdradziłam swój lud i teraz nie należy do żadnego. I uczyniłam coś bardzo złego. Zostaw mnie na wyspie, jak zostawiono dzieci króla, na samotnej wyspie, gdzie nie żyją ludzie... Gdzie nie ma nikogo. Zostaw mnie i zabierz Pierścien do Havnoru. Należy do ciebie, nie do mnie. Ze mną nie ma nic wspólnego. Tak jak twój lud. Zostaw mnie sama!

Powoli i stopniowo, lecz zaskakując ją mimo to, pośród czerni niby mały księżyc zajaśniało światło: magiczne światło, płonące na jego rozkaz. Lśniło na koncu łaski, która trzymał pionowo, siedząc na dziobie zwrócony twarzą do Tenar. Oswietlało srebrzystym blaskiem dolną krawędź zagłą, deski nadburcia i jego twarz. Patrzył prosto na nią.

- Jakie zło uczyniłaś, Tenar?

- Rozkazałam zamknąć trzech ludzi w komnacie pod Tronem, by zgineli. Umarli z głodu i pragnienia. Umarli i zostali pochowani w Podgrobiu. Kamienie Grobowe runęły na ich mogiły.

Umilkła.

- Czy jeszcze coś?

- Manan.

- Ta śmierć obciąża moją duszę.

- Nie. Zginął, ponieważ mnie kochał i był wierny. Myślał, że mnie chroni. Trzymał miecz nad moją głową. Kiedy byłam małą, zawsze był dobry... Kiedy płakałam... - Przerwała, gdyż łzy wezbrały w jej oczach, a nie chciała więcej płakać. Zaciśnięła dłoń na czarnych fałdach swojej szaty. - Nigdy nie byłam dla niego dobra - powiedziała. - Nie popłynę do Havnoru. Nie chcę płynąć z tobą. Znajdź jakąś wyspę, gdzie nikt nie mieszka, wysadz mnie na niej i zostaw. Muszę zapłacić za zło. Nie jestem wolna.

Między nimi migotał szary od morskiej mgły, delikatny brzask.

- Posłuchaj, Tenar. Uwważaj. Byłaś naczyniem zła, lecz zło zostało wylane. Już go nie ma. Leży we własnym grobie. Nie została stworzona do okrucieństw i mroku, istniejesz, by przechowywać światło, jak latarnia przechowuje je i oddaje. Odszukałem tę latarnię zgaszona i nie zostawie jej na jakiejś pustej wyspie niczym coś, co się znajduje i wyrzuca. Zabiorę cię do Havnoru i powiem księżetom Ziemiomorza: „Patrzcie! W siedlisku ciemności odnalazłem światło: jej duszę. Dzięki niej pradawne zło zmieniło się w nicosc. Dzięki niej wyszedłem z grobu. Dzięki niej złamane stało się całością, a tam, gdzie była nienawisc, zapanuje pokój”.

- Nie - odparła z bólem Tenar. - Nie mogę. To nieprawda!

- A potem - mówił dalej - zabiorę cię od księżat i bogatych panów, gdyż to prawda, że nie ma tam dla ciebie miejsca. Jesteś zbyt młoda i zbyt mądra. Zabiorę cię do mojego kraju, na Gont, gdzie się urodziłem, do mojego dawnego mistrza Ogiona. Jest już starcem, wielkim Magiem i człowiekiem spokojnego serca. Nazywają go Milczącym. Mieszka w małym domku na urwiskach Re Albi, wysoko ponad falami. Trzyma kilka kóz i ma mały ogródek. Jesienią wędruje samotnie po wyspie, po lesie i górach, wzdłuż dolin rzek. Mieszkałem z nim kiedyś, gdy byłem młodszy niż ty teraz. Nie zostałem długo... Nie miałem dość rozumu, by tam zostać. Wyruszyłem na poszukiwanie zła i znalazłem je, oczywiście... Ale ty przybywałeś uciekając przed złem, szukasz wolności, szukasz ciszy potrzebnej ci, póki nie znajdziesz własnej drogi. Tam czeka cię spokój i cisza, Tenar. Tam latarnia może się palić z dala

od wichrów. Pojedziesz tam?

- Tak - westchnęła. I po chwili dodała: - Och, chciałabym jak najszybciej... Zebysmy mogli od razu tam płynąć...

- To nie potrwa długo, malenka.

- Odwiedzisz mnie kiedyś?

- Gdy tylko będę mógł, przybędę.

Światło zgasło, wokół nich zaległa ciemność.

Po wielu wschodach i zachodach, po spokojnych dniach i lodowatych wichrach zimowej podróży, dotarli w końcu na Wewnętrzne Morze. Wśród wielkich statków przepłynęli zatłoczonymi kanałami aż do Cieśniny Ebavnor, do zatoki leżącej w samym sercu wyspy i przez nią do Wielkiego Portu Havnoru. Zobaczyli białe wieże i całe miasto białe i lśniące od śniegu. Białe płatki okrywały okapy nad mostami i czerwone dachy domów, a w zimowym słońcu połyskiwały lodem olinowania setki statków w porcie. Wiadomości o ich przybyciu wyprzedziły ich, gdyż polatany czerwony żagiel „Bystrego oka” znany był dobrze na tych wodach. Tłum zebrał się na osnieżonym nabrzeżu, a kolorowe proporce trzepotały nad głowami w czystym, zimnym wietrze.

Tenar siedziała wyprostowana w swym wystrzępionym czarnym płaszczu. Z powagą spoglądała na Pierscien. Potem przeniosła wzrok na zatłoczony, wielobarwny brzeg, na palace i wysokie wieże. Podniosła prawe ramię i słońce błysnęło w srebrze Pierscienia. Rozległy się radosne okrzyki, zimnym wiatrem niesione nad wodę. Ged podpłynął do brzegu. Rzucił cumę i setka rak wyciągnęła się po nią. Zeskoczył na molo i odwrócił się.

- Chodź - powiedział z uśmiechem, a ona wstała i poszła. Z powagą szła obok niego białymi ulicami Havnoru, trzymając go za rękę, jak dziecko wracające do domu.

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

Pozostałe

[Rozdział drugi](#)

Mur wokół Miejsca

[Rozdział trzeci](#)

Wieżniowie

[Rozdział czwarty](#)

Sny i opowiesci

[Rozdział piaty](#)

Swiatlo pod Wzgórzem

[Rozdział szósty](#)

Pulapka

[Rozdział siódmy](#)

Wielki Skarbiec

[Rozdział ósmy](#)

Imiona

[Rozdział dziewiaty](#)

Pierscien Erreth-Akbego

[Rozdział dziesiaty](#)

Gniew ciemnosci

[Rozdział jedenasty](#)

Zachodnie góry

[Rozdział dwunasty](#)

Podróż